

# KUŹNICA

## TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Biblioteka Miejska  
Łódź  
Andrzeja 14.

Rok 2

Łódź, 27 maja 1946 r.

Nr 20 (38)

JÓZEF CHAŁASIŃSKI

Dyskusja o inteligencji (V)

## Socjologia i historia inteligencji polskiej

Z powodu książki Marcellego Handełsmana pt. „Historyka. Zasady metodologii i teorii poznania historycznego” (II wyd. 1928 r.) Stefan Czarnowski pisał: „Rzeczywistość społeczną chwytały jedynie w faktach poszczególnych. Ale warunkiem rozpoznawania faktu, jako całości odrębnej i swoistej jest możliwość stwierdzenia różnicy zachodzącej pomiędzy nim, a wszystkimi faktami podobnymi. By fakt mógł być zauważony, zanotowany i określony, wreszcie opisany i zanalizowany musi on występować na tle całego układu faktów... Historyk zdolny jest rozpoznać fakty poszczególnego przebiegu o ile może skłasyfikować je jako odmiany typów... Musi znać normę... Słowem dla historyka warunkiem spełnienia zadania jest, że winien on być socjologiem (Czarnowski, Społeczeństwo-Kultura, str. 26—29).

Gdzie indziej znowu Czarnowski pisze na temat historii kultury: „...Kultura jest typem życia... ludzie... będą dla niego (historyka kultury) przede wszystkim jednostkowymi przedstawicielami typu ludzkiego ogólnego, który może nie być rzeczywistym nigdy w pełni, który jednakże istnieje w danej epoce i w danym społeczeństwie, jako norma, wokół której grupują się indywidualia. Tak samo działanie tych jednostek, ich czyny, będą dlań interesujące, jako przejawy pozwalające poznać określony stan przedstawień, form współżycia, kryteriów wartości”. (St. Czarnowski: Tamże str. 55).

### BŁĄD RODZI BŁĄD

Pozwoliłem sobie przypomnieć te uwagi znakomitego socjologa i historyka kultury, gdyż głosy krytyczne spowodowane moim artykułem na temat „Inteligencja polska w świetle swojej genealogii społecznej” (Kuźnica z 4 lutego 1946 r.) nie tylko nie biorą pod uwagę socjologicznego problemu inteligencji, jaki mnie interesował, lecz także w posługiwaniu się faktami historycznymi jednostkowymi popełniają elementarne błędy metodologicznej natury.

Wydawało mi się, że tytuł mojego artykułu w „Kuźnicy”: „Inteligencja polska w świetle swojej genealogii społecznej” nie powinien być budzić wątpliwości co do problemu, jaki był tematem tego artykułu. Interesował mnie społeczny typ inteligenta i jego pochodzenie; interesował mnie inteligent, jako wzór społeczno-obyczajowy czyli, jakby powiedział Czarnowski jako „norma, wokół której grupują się indywidualia”.

Rzecz jasna, że tak pojęte zagadnienie należy równocześnie do socjologii i historii kultury.

Historia kultury operująca tylko jednostkowymi faktami, nie oparta o socjologiczną typologię nie ma naukowej podstawy do systematycznego porządkowania faktów. Inteligencja jako warstwa społeczna jest tworem historycznym i trzeba ją rozpatrywać na tle tego historycznego społeczeństwa, które ją wytworzyło. Operowanie pojęciem inteligencji w odniesieniu do XVI w. — jak to czyni p. Zawodźński — musi budzić zasadnicze zastrzeżenia. Pan Zawodźński pisze o czasach Kochanowskiego „istnieje za jego czasów „inteligencja” jako żywe środowisko jako warstwa niezależna od szlachty ziemskiej”. Środowisko kulturalne XVI w. było z pewnością zróżnicowane. Czy jednak traktowanie „inteligencji” XVI w. jako synonimu inteligencji XIX czy XX w. nie prowadzi do pojęcia „anarchii”. Traktowanie Jana Kochanowskiego jako inteligenta znajduje się na tym samym poziomie socjologicznej poprawności, jakim byłoby traktowanie pańszczyźnianego

chłopa jako synonimu współczesnego najemnego robotnika rolnego. Konkluzja p. Zawodźńskiego, stwierdzająca „odwieczne istnienie w Polsce warstwy inteligencji niezależnie od procesu przechodzenia w jej szeregi jednostek ze stanu szlacheckiego” posługuje się słowami „warstwa” „inteligencja” w sposób tak bez troski o ich historyczne znaczenie, że nie nadaje się do dyskusji.

Takie traktowanie inteligencji nadaje jej charakter kategorii pozasocjologicznej i pozahistorycznej, niezwiązanej z historycznie określonym społeczeństwem i epoką. Tak pojęta inteligencja nie może być tematem naukowego poznania ani socjologii ani historii kultury. Takie pojęcie inteligencji jest socjologicznie błędne, w tym znaczeniu, że nie ujmuje istoty inteligencji jako warstwy społecznej, jako zjawiska społecznej i kulturowej kultury. Ten socjologiczny błąd p. Zawodźńskiego nie tylko rodzi inne błędy w jego polemice na temat inteligencji; błąd ten w ogóle uniemożliwia naukowe poznanie inteligencji jako zjawiska społeczno-kulturowego.

### FAKTY HISTORYCZNE JEDNOSTKOWE I KONSTRUKCJE SOCJOLOGICZNE

Pan Zawodźński odrzucając „mylną legendę szlacheckiego pochodzenia inteligencji polskiej, podjął próbę przedstawienia „rzeczywistej genezy” inteligencji. W tym celu przytacza fakty z różnych epok i z różnych społeczeństw, które mają służyć do charakterystyki inteligencji. Podobnie, lecz w sposób bardziej systematyczny, postępuje p. Stefan Kieniewicz w artykule p. t. „Rodowód inteligencji polskiej” („Tygodnik Powszechny” z dnia 14 kwietnia 1946 r.).

U Kieniewicza inteligencja jest warstwą znacznie młodszą niż u Zawodźńskiego. Nie jest odwieczna, nie ma jej za Piastów, nie ma za Jagiellonów. Określając inteligencję jako „warstwę społeczną, utrzymującą się przeważnie własną pracą umysłową”, Kieniewicz odnajduje pewną liczbę inteligentów w Polsce na schyłku XVIII w. W owym czasie jednak pisze „nie odnajdziemy inteligencji, jako wyodrębnionej grupy społecznej”. „Rozrost warstwy inteligentycznej — pisze Kieniewicz — przyniesie era Księstwa Warszawskiego”. Od tego momentu narodziła się inteligencja jako warstwy zaczyna Kieniewicz charakterystykę rozwoju inteligencji w poszczególnych zaborach. Ostateczne jednak ukształtowanie się inteligencji jako warstwy przodującej, odrębnej od szlachty, wiąże Kieniewicz z rolą jaką inteligencja odegrała w powstaniu styczniowym. „Szlachta posiadająca — pisze Kieniewicz — zrzeka się przewodnictwa w walce o niepodległość. Od tej chwili inteligencja bierze w swe ręce odpowiedzialność za losy narodu”.

Te uwagi dotyczące politycznej funkcji inteligencji, co świadomie pominąłem w moim artykule, określają wydaje mi się trafnie historyczny moment wykrystalizowania się inteligencji jako przodującej warstwy narodu. Jest to druga połowa XIX w.

Moje zainteresowania szły jednak w innym kierunku. Mnie chodziło o społeczny typ inteligenta i pochodzenie tego typu. W tej sprawie Zawodźński i Kieniewicz dają sporo faktów. Zastanówmy się nad tymi faktami.

Co te fakty oznaczają? Pan Zawodźński pisze, że „dosyć przejrzed listę oficerów zawodowych, któregośkolwiek pułku, zwłaszcza piechoty, by stwierdzić niesłuszność zarzutu kastowości korpusu oficerskiego; nazwiska szlacheckie... stanowią tam znikomą mniejszość”. Nie o to chodzi, chodzi o społeczny typ oficera. A ten scharakteryzować można tymi samymi słowami, jakimi charakteryzował Skarbek wojsko Księstwa Warszawskiego.

„Wyznać należy — pisze Skarbek — że za Księstwa nastąpiła przeciwna jednoci obywatelskiej zarozumiałość stanu wojskowego, zmierzająca do tego, aby temu stanowi przysnąć wyższość nad tym, co się poświęceniem pracy i dostatków swoich z obywatelskich obowiązków wywiązywali... Kłopotliwie zaśięga pamięcią czasów Księstwa Warszawskiego, ten zachował bez wątpienia wrażenie zmiany, jaka się w każdym spokojnym obywatelu, w każdym nawet pokornym wieśniaku objawiała, skoro przywdział strój wojskowy i broń do dłoni dostał. Ziomek i brat jego przestał być jego równym; obywatel, co pracował i płacił na to, aby żołnierz żywność i żołd pobierał, urzędnik jakkolwiek równie jak on krajowi służący, byli to w oczach jego niższe istoty, od których mu się poważanie i wszelka uległość należały... Wojskowi kształcili jedną oddzielną kastę, dla której z czasem wszystko było obcym, prócz wspólnej sławy wojennej i potęgi bohaterstwa, która wspólnie dźwigała i wznosiła”. (Fr. hr. Skarbek: Dzieje Księstwa Warszawskiego, t. II, str. 287—288).

I Kieniewicz i Zawodźński podkreślali wielki napływ młodzieży chłopskiej do inteligencji w Galicji. Kieniewicz podaje za Prof. Bujakiem, że w okresie 1850 do 1890 około 40 proc. studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego pochodziło z warstw nieposiadających. Co z tego wynika? Czy ten napływ chłopskiej młodzieży zmienił radykalnie społeczno-duchowe oblicze inteligencji galicyjskiej i w ogóle polskiej? Czy wniósł do inteligencji nowe treści tak zasadniczo odrębne, że stworzył nowy społeczno-kulturowy typ inteligenta?

Kieniewicz przedstawiając szkiecowo odrębne drogi rozwoju inteligencji w różnych zaborach dochodzi do następującej konkluzji ogólnej w sprawie inteligencji z końca XIX w.

„Mimo tych różnic łączy inteligencję całej Polski jedno wyraźne poczucie — własnej wyższości nad innymi warstwami społecznymi: nad ludem, który do polskości nie dorósł, i nad szlachtą, która nie umiała jej bronić. Jak ongi właśnie szlachtę, tak teraz inteligencję nurtuje przekonanie, że ona jedna wyobraża naród. I faktycznie, życie polityczne i umysłowe kraju skupia się wtedy w tej warstwie: ona spularyzowała pozytywizm, ona nawet konserwatywizmowi i ugodzie dostarczyła teoretyków (Szujskiego, Bobrzyńskiego, Spasowicza); ona stworzyła i poprowadziła ruch socjalistyczny i Narodową Demokrację; ona przez Stojałowskiego i Wyśłoucha patronowała początkom ruchu ludowego; ona wydała z siebie świetną literaturę i wytknęła narodowi nowe ideały. W każdym społeczeństwie nowożytnym przewodzą narodowi zawodowi niejako politycy, pisarze myśliciele, słowem „klerkowie”. Ale nigdzie chyba w tym stopniu, co w Polsce „klerkowie” ci nie utożsamiają się z inteligencją pracującą, przeciwstawioną innym warstwom społecznym... (St. Kieniewicz: Rodowód inteligencji polskiej, „Tygodnik Powszechny”, 14.IV. 1946 r.).

Cieszę się że ze strony historyka przychodzi potwierdzenie tego faktu socjologicznego, który był punktem wyjścia mojej analizy inteligencji. Byłbym jednak niewdzięczny, gdybym nie podkreślił usługi, jaką mi oddał również p. Zawodźński. Zwalczając dogmat o szlacheckim pochodzeniu inteligencji polskiej p. Zawodźński pisze: „Długoletnie prosperowanie tego dogmatu tłumaczy się, wobec braku sprzeciwu ze strony źródłowych opracowań, prostym snobizmem jego wyznawców, składających jednocześnie środowisko kształtujące opinię powszechną; stanowił on jakby powszechną nobilitację warstwy, zwanej inteligencją. Zwłaszcza wobec rozpowszechnienia nazwisk na „skł”, uważa-

... „polski nihilizm jest zupełnie co innego — zasadą jego jest — sprowadzić wszystko do własnej niziny prywatnej i myśleć, że to do głębokości morza”

Cyprian Norwid

nych za pewną oznakę szlacheckiego pochodzenia (np. Telefoński, Ostoję-Telefoński brzmi bardzo nobliwie) w przeciwieństwie do odczuwanych — przy lichej erudycji ogółu w heraldyce — jako plebejskie, nazwisk typu Smolik i Zadzik, Czyż i Koc, Sławek i Wiktor, Borowy i Biały — ogromna większość inteligentów mogła się przedstawiać jako „wysadzona” z siódła szlachta i tym samym podnosząc się we własnych oczach, utrwałać jednocześnie nieatakowaną przez nikogo legendę”. (K. W. Zawodźński: W sprawie genealogii inteligencji, „Kuźnica” z dnia 1.IV. 1946 r.).

Opierając się na wywodach Kieniewicza i Zawodźńskiego, otrzymujemy następujące elementy inteligencji jako warstwy społecznej: (1) praca umysłowa jako zasadnicza podstawa utrzymania, (2) poczucie własnej wyższości nad innymi warstwami społecznymi: „nad ludem który do polskości nie dorósł i nad szlachtą, która nie umiała jej bronić, (3) przekonanie, że ona jedna (inteligencja) wyobraża naród”. Do tego dochodzi (4) legenda, mīt o szlacheckim pochodzeniu inteligencji na co słusznie zwraca uwagę Zawodźński. Pomijam pewną pozorną sprzeczność pomiędzy elementami, na które zwraca uwagę Kieniewicz a tym mitem szlacheckości o którym pisze Zawodźński. W tej chwili jest to sprawa nieistotna. Nie chodzi również na tym miejscu o to, czy ta socjologiczna konstrukcja jest najbardziej przybliżona do rzeczywistości i czy nie dałoby jej się przybliżyć jeszcze bardziej.

W tej chwili mam na myśli zupełnie co innego — problem metodologiczny. Przytoczone pojęcie inteligencji jako warstwy społecznej jest socjologiczną konstrukcją, która nie jest ani prostym zsumowaniem wszystkich wiadomych czy przytoczonych faktów historycznych, ani wniknięciem logicznym wyprowadzonym z określonych przesłałek, ani wynikiem jakiegoś statystycznego obliczenia. Proszę, w jakim stopniu do tej konstrukcji pozostaje historia o ludowym pochodzeniu znacznej części inteligencji.

Pan Kieniewicz zaczął swój artykuł od wyrażenia nadziei, że „może uda się nam... Zejść od abstrakcji i ogólnień na ścisły grunt nazwisk i faktów”. W tej intencji pisał za Bujakiem, że 40 proc. młodzieży Uniwersytetu Jagiellońskiego w latach 1850—1890 pochodziło z warstw nieposiadających. Ale w ogólnej charakterystyce inteligencji jako warstwy p. Kieniewicz stwierdza poczucie wyższości nad... ludem. Jak pogodzić to uogólnienie ze ścisłym gruntem „faktów” mówiących o ludowym pochodzeniu znacznej części inteligencji.

P. Kieniewicz, podobnie jak p. Zawodźński podkreśla, że „pochodzenie inteligencji ówczesnej jest bardzo różnorodne”. Skąd wobec tego bierze się taka spójność i jednolitość inteligencji, że można ją charakteryzować, jak to czyni Kieniewicz, jako całość. W tym tkwi istotny problem metodologiczny. Jest to problem przejścia od sądów o faktach historycznych jednostkowych do sądów o socjologicznych konstrukcjach. Ten problem dotyka nie tylko sprawy przejścia od jednostkowych składników inteligencji do inteligencji jako warstwy czyli jako pewnej całości. Ten problem występuje także ilekroć historyk przechodzi od poszczególnych osobników szlacheckich do szlachty jako całości. Ten problem dotyka w ogóle sprawy poznania historycznego, choć na ogół historycy problemu tego nie dostrzegają. Konsekwencje jakie p. Kieniewicz popełnia, przechodząc od ścisłego gruntu faktów do uogólnień na temat inteligencji jako całości, popełnia i popełniać musi każdy historyk. Naukowe poznanie rzeczywistości historycznej jest bowiem niemożliwe bez socjologicznych

\*) Patrz także K. W. Zawodźński „Kuźnica” 14.4.46, A. Litwin „Kuźnica” 15.4.46, St. Kieniewicz „Tygodnik Powszechny” 14.4.46 i Spectator „Kuźnica” 20.5.46.



konstrukcji. Jeżeli takich konstrukcji nie tworzy się świadomie, to musi się je tworzyć lub przyjmować gotowe nieświadomie i mimowolnie. Tertium non datur.

Zresztą nieuchronnie konstruowania całości w procesie poznania historycznego nie jest zagadnieniem dla historyków zupełnie nowym. Wiadomo, że historycy od dawna posługują się takimi konstrukcjami i że bez takich konstrukcji nie do pomyślenia byłaby historia jako nauka. Taką konstrukcją jest przecież pojęcie średniowiecza, renesansu, humanizmu czy oświecenia. Nowość socjologicznego ujęcia polega nie na samym postulatcie typologiczno-socjologicznej konstrukcji lecz na tym, że postulat ten dotyczy społecznych struktur a nie tylko jak dotychczas w historii kultury zjawisk kulturalnych traktowanych w oderwaniu od społecznego podłoża. Konstrukcją całościową jest nie tylko „średniowiecze” czy „oświecenie”, konstrukcją jest także „stan”, „klasa”, „naród” itp.

Wiadomo również historykom że fakty jednostkowe nie stanowią dostatecznej podstawy do uogólnień dotyczących całości. Poglądy na średniowiecze czy oświecenie, jako pewne epoki, nie wynikają przecież z poglądów na poszczególnych osobników tej epoki. Jest to przecież cały problem kogo należy uważać za typowych wyznawców epoki. Wiadomo również, że jednostkowe zjawiska nabierają właściwego znaczenia dopiero na tle epoki. Inaczej mówiąc, w poznaniu historycznym operujemy z konieczności równocześnie faktami jednostkowymi i konstrukcjami całościowymi; fakt jednostkowy i konstrukcja całościowa nie są odrębnymi etapami metodycznego postępowania, lecz dwoma nieodłącznymi stronami integralnego procesu historycznego poznania. Fakty jednostkowe są konieczne, aby konstrukcja była przybliżona do rzeczywistości; ale równocześnie fakty jednostkowe są niepozwolne poza konstrukcjami całościowymi.

Dotknięte tu zagadnienia metodologiczne poznania historycznego nie mogą być na tym miejscu zanalizowane wyczerpująco. Przytoczone uwagi wystarczają do tego, aby wykazać, że zagadnienie inteligencji jako warstwy społecznej nie da się oprzeć na gruncie wyłącznie faktów jednostkowych. Przekonanie o ściśłości faktów jednostkowych w poznaniu historycznym jest legendą zrodzoną z metodologicznej nieświadomości. I wreszcie, inteligencja jako warstwa społeczna, jako konstrukcyjna całość nie jest dowolną konstrukcją badacza; ona musi odpowiadać konstrukcyjnym powiązaniom życia społecznego. *Historia-socjolog może wykrywać inteligencję jako warstwę społeczną w takiej rzeczywistości społecznej, w jakiej ona realnie istnieje dla danego społeczeństwa jako coś społecznie odrębnego.* Konkluzja, według której inteligencja jest zjawiskiem odwiecznym, jest tylko dowodem dezorientacji w historycznej i socjologicznej istocie tego problemu.

#### SOCJOLOGICZNY PROBLEM INTELIENCJI

Przytoczone uwagi wystarczają do tego, aby wykazać, że sprawa społecznej genealogii inteligencji polskiej jako warstwy społecznej nie daje się sprowadzić do pochodzenia jednostek wchodzących w skład inteligencji. Występując zagadnienie społecznej genealogii inteligencji jako warstwy, chodziło mi nie o to, z jakich elementów składała się inteligencja, lecz o to skąd brały się węższe społeczne, łączące elementy różnorodnego pochodzenia w jedną całość społeczną i skąd się brały te wzory społeczno-obyczajowe, które, obowiązujać powszechnie wśród inteligencji nadawały tej warstwie jednolity styl, mimo różnicowanie wewnętrzne.

„Ścisłe fakty”, jakie p. Kieniewicz przytoczył dla zilustrowania genezy inteligencji, nie wyjaśniają skąd się wzięło jej poczucie wyższości, lub przeświadczenie o reprezentowaniu całego narodu, lub mit szlacheckiego pochodzenia.

Wyjaśnić społeczną genealogię inteligencji jako warstwy, to znaczy wyjaśnić, skąd się wzięły te i inne elementy „społecznej świadomości” inteligencji, scalające różnorakie elementy w całość jednej warstwy społecznej. Taki jest socjologiczny problem inteligencji.

Analiza tego problemu na drodze redukcji warstwy inteligencji do składających ją jednostek jest drogą zawodną. *Inteligencja jako warstwa, jako całość społeczna nie da się bowiem sprowadzić do poszczególnych jednostek. Jako pewna całość społeczna inteligencja polska jest elementem obiektywnej historycznej struktury społeczeństwa polskiego, wyrażającej się w techniczno-ekonomicznej organizacji życia zbiorowego, w rozczłonkowaniu na różne grupy i instytucje powiązane ze sobą, w obowiązujących wzorach postępowania i kryteriach wartościowania. Punktem wyjścia socjologicznej analizy inteligencji musi więc być historycznie ukształ-*

*towana całość społeczeństwa, którego inteligencja jest elementem. Inteligencja stała się w nowoczesnym społeczeństwie polskim „instytucją”, podobnie jak poprzednio instytucją była szlachta, poprzednio stan chłopski lub gdzie indziej niewolniczo. Naukowe poznanie społecznej istoty inteligencji na drodze opisu poszczególnych jednostek, jest tak samo niemożliwe, jak naukowe poznanie społeczno-ekonomicznej istoty banku na podstawie znajomości jednostek związanych z bankiem.*

Oczywiście inteligencję jako warstwę społeczną poznajemy także za pośrednictwem inteligentów, podobnie jak bank — za pośrednictwem jego funkcjonariuszy — nie zapominajmy jednak o tym, że jednostka ludzka jako inteligent, podobnie jak „bankowiec”, istnieje tylko o tyle, o ile istnieje inteligencja i bank jako instytucje „społeczne”. Inteligencja jako warstwa o określonym miejscu w społeczeństwie czyni ludzi inteligentami, a nie na odwrót. W socjologicznym rozumieniu jednostka jest inteligentem tylko i wyłącznie jako przedstawiciel i członek inteligencji jako grupy, tylko o tyle, o ile wciela w siebie wartości tej grupy.

Oczywiście wolno wątpić czy inteligencja w ogóle istnieje w tym sensie socjologicznym jako warstwa społeczna. Jeżeli jednak przyjmuje się istnienie warstwy inteligencjonalnej, jeżeli, jak to czynią Zawadzinski i Kieniewicz, używa się w odniesieniu do inteligencji pojęcia warstwy społecznej, to z tego należy wyciągnąć dalsze poznawcze konsekwencje — należy sobie uświadomić socjologiczny charakter problemu i świadomie posługiwać się socjologiczną metodą.

Z „instytucjonalnego” charakteru inteligencji wynika zasadnicze konsekwencje dla jej socjologicznego i historycznego ujęcia. Instytucje kształtują się jedne z drugich; jedne wstępują na miejsce innych. Kto chce zrozumieć „instytucję” inteligencji w społeczeństwie polskim, ten musi rozpatrzyć ją w związku z poprzedzającą ją instytucją szlachty. Inteligencja polska weszła bowiem do struktury narodu polskiego jako nowy rodzaj „szlachty”, na miejsce dawnej szlachty w historycznym procesie rozpadu stanu szlacheckiego.

Analiza polskiej inteligencji przeprowadzona w tej płaszczyźnie usuwa na plan dalszy statystyczne dociekania, co do pochodzenia inteligentów. *Interesuje nas bowiem pochodzenie nie inteligentów, ale „instytucji” inteligencji.*

#### HISTORIA INTELIENCJI POLSKIEJ

Nie piszę w tym artykule historii inteligencji polskiej. W dotychczasowych uwagach chodziło mi o ustalenie założeń i metodologicznych punktów wyjścia, na jakich chce czy nie chce, świadomie czy nieświadomie, musi się oprzeć historia inteligencji, jako część historii społecznej i historii kultury, jeżeli ma naukowe aspiracje i nie chce się ograniczyć do gromadzenia faktów przypadkowo związanych ze sobą, lub zgola niepowiązanych.

Dlatego też na uboczu pozostawiam szczegółowe rozpatrzenie charakterystyki inteligencji podanej przez p. Kieniewicza. Obok istotnych różnic charakterystyka ta wykazuje punkty styczności problematyki mojej i p. Kieniewicza.\*)

Nie miejsce tutaj na szczegółowe opracowanie problemu inteligencji. Zarówno w poprzednim artykule, jak obecnie, ograniczyłem się świadomie do niektórych zagadnień. Historia inteligencji nie leżała w moich zamiarach. Tym mniej mogłem zająć się sprawą inteligencji w świetle obecnej rzeczywistości społecznej Polski. Nawet w zakresie socjologicznych zagadnień inteligencji nie poruszałem wszystkich istotnych problemów. Rola państwa i wzrostu organizacji państwowej w kształtowaniu się inteligencji została całkowicie pominięta, a inne zagadnienia zaledwie dotknięte. Związczą obecnie w okresie zasadniczych przeobrażeń struktury społeczeństwa polskiego wszechstronne omówienie problemu inteligencji jest rzeczą konieczną.

P. Kieniewicz naszkicował pewne zasadnicze etapy historii inteligencji polskiej. Dostarczył sporo faktów i trochę uogólnień. Słusznie zwraca uwagę na schyłek wieku XVIII. Do podanych przez niego faktów doruczę trochę Komisji Edukacyjnej o wykształcenie młodzieży szlachty ubogiej.

Początkowo uboga młodzież szlachecka, obracana od dzieciństwa do zajęć gospodarskich, zwiadała szkoły przygodnie, przeważnie o ile znajdowała się na służbie przy synach obywateli zamężniejszych. Stała paniczom łóżka, zamiatała izbę, czyściła suknie i buty, posługiwała

\*) Jest to tym bardziej interesujące, że p. Kieniewicz omawiając problemy, poruszone w moim artykule sprawia wrażenie jakby polemizował ze mną. Wrażenie to jest jednak złudne, gdyż p. Kieniewicz nigdzie artykułu mego nie wspomina.

przy stole, nosiła książki, załatwiała sprawunki, a przy tym razem z nimi chodziła do szkoły, w której zajmowała miejsca poledniejsze. Kształciły się w ten sposób niemłode syny szlacheckich i wychodziło na ludzi. Gdy około połowy wieku XVIII Piłsudski, a za nim Jezuici zaczęli zakładać dla młodzieży bogatszej konwikty, t.j. pensjonaty, obsługiwane przez lokajów, synowie szlachty ubogiej stracili łatwość pobierania nauki szkolnej”. (Wł. Smoleński: Szkice z dziejów szlachty mazowieckiej, str. 154).

„Komisja Edukacyjna wzięła za cel pieczołowitości swojej, aby po kraju pewna liczba młodzieży ubogiej szlachty, pospolitym funduszem kosztem utrzymania, przyzwyczajoną do edukacji. Postanowiono wedle możności łożyć na jej mieszkanie, żywność, odzienie, dyrektorów, książki itp. Odwoływała się do obywateli o dostarczenie funduszy”. (Wł. Smoleński: Szkice z dziejów szlachty mazowieckiej, str. 157).

W okresie dwuletnim, od 1778 do 1780, na konwikty dla szlachty ubogiej Komisja wydała około 98.000 zł. Łożyła 4.800 zł. rocznie na osiemnastu konwiktorów w Łomży, 1.700 na sześciu w Pułtusku. Utrzymywała się też młodzież własnym przemysłem. Uczniowie łomżyńscy co sobota rozbiegali się po wsiach okolicznych z sakwami dla wyżebrania żywności tygodniowej w mące, krupach warzywie i okrasie”. (Smoleński: Szkice, str. 157).

Przytoczyłem te ustępy ze Smoleńskiego, gdyż wiąże się one, moim zdaniem, bardzo ściśle z moją tezą o konieczności uwzględnienia szczególnej roli drobnej i zubożonej szlachty w kształtowaniu się inteligencji. Szlachta z czystobutów i lokal pańskich wyrosła do roli poważnych rywali arystokracji; w miarę nabywania wykształcenia i zdobywania miejsca w kulturalnym życiu kraju stanie do rywalizacji z arystokracją o pierwszeństwo w przewodzeniu krajowi. Jak słusznie przypomina Spector za Korzonem szlachta pod koniec XVIII w. stanowiła olbrzymi odsetek ludności, około 10 proc. całego zaludnienia (we Francji i proc.).

Rzecz historyka będzie dokładnie określić chronologię procesu kształtowania się inteligencji polskiej i zasięg czasowy poszczególnych elementów tej warstwy. Wchodzenie inteligencji w rolę nowej „szlachty”, usamodzielnianie się, a równocześnie zajmowanie jej miejsca — to proces który rozkładał się na pokolenia. Poszczególne jego fazy występują w różnych okresach czasu. Interpretacja faktów historycznych jednostkowych, mająca na celu określenie różnych stron inteligencji jako całości może i musi być nieraz sprawą sporną. „Czas Kongresówki — pisze Kieniewicz — to okres dalszego rozrostu inteligencji rzeszy”. Jest jednak rzeczą do ustalenia jak dalece ta „inteligencja rzesza” usamodzielniała się już w osobną warstwę społeczną w tamtych czasach. „Inteligencja, t. j. zawsze jeszcze szlachta...” pisał Brückner o epoce Królestwa Kongresowego. (Dzieje kultury polskiej, III, str. 535).

Także później, w erze paskiewiczowskiej z pewnością nie może być jeszcze mowy o wyodrębnieniu się inteligencji od szlachty. Szkolnictwo oparte było na zasadzie stanowej. Wykształcenie średnie i wyższe traktowane było jako przygotowanie do kariery biurokratycznej, ta zaś na wyższych stopniach dostępna była w zasadzie tylko dla szlachty. Minister Oświaty hr. Uwarow w sprawozdaniu za okres 1833 do 1843 pisał: „Młodzież szlachecka, najcenniejszy kwiat dorastającego pokolenia, przeznaczona przez sam pochodzenie swoje i tryb życia do sprawowania najważniejszych w państwie godności, powinna, o ile można, mieć i edukację odrębną. Dla stanu kupieckiego, mieszczańskiego, a wedle możliwości i samych włościan otwarte są przyzwolone drogi do edukacji stosownej do ich potrzeb, trybu życia i położenia w państwie”. (J. Kucharzewski: epoka paskiewiczowska, str. 239—240). Okólnik Ministerstwa Oświaty z 1887 r. zalecał władzom szkolnym „aby do tych zakładów szkolnych (gimnazjów) przyjmowano tylko takie dzieci, które znajdują się pod opieką osób, przedstawiających dostateczną gwarancję właściwego domowego nadzoru i zapewnienia im wygody koniecznej dla uczenia się”. Przestrzeżenie tej zasady, obok podwyższenia opłat szkolnych miało, według słów okólnika, doprowadzić do tego, że „gimnazja i progimnazja uwolnią się od napływu dzieci stangretów, lokal, kucharzy, praczek, drobnych kupców i podobnych ludzi, których dzieci z wyjątkiem genialnie uzdolnionych, nie powinny w ogóle pchać się po średnie i wyższe wykształcenie”. (I. Aleszinczew: Istoria gimnazyjskiego obrazowania w Rosji. XVIII i XIX w., str. 335, 1912 r.).

Oczywiście te tendencje polityki oświatowej rosyjskiej nie oddają całokształtu procesów społecznych i kulturalnych nurtujących szlachecką inteligencję zaboru rosyjskiego, zwłaszcza po powstaniu stycz-

ST. RYSZARD DOBROWOLSKI

## Nasz czas

Odwrocił twarz. I w noc spogląda wzorazszą — wstecz. Na czole poblask dogasa łun. I jeszcze ślady ognia i krwi i głodu. Miecz opuścił jakby — lekko, lecz łun! brzeszczot grozy — na przegubie za ramię uwiązany twardo. Zdeptaną drogę mierzy wargą kamiennych oczu. Wle, że ubiegł tyle, co z aort krwi wyteczył. Więc zwiesza skroń — i spuszcza oczy i gnje kolana...

Lewą dłoń wprost siega za kowalski młot. Skowronki gdzieś nad głową dzwonią jak srebrna kuźnia. Śmiało jót jaskółka w niebie strzydłem pisze, że jutro — już. I poprzez cłsze za pługiem idzie piosnka. Wrony w brzdach — zabawne.

Nieskończony nasz czas kolana dźwiga oba. Na gruzach lat, na naszych grobach czerwcowy się poranek kłosi jak tytułowa karta dzieła. Nasz czas ramiona hardo wznosi do przyszłych dni: — Wyklejły powstał z popiołów niemi... Jeszcze Polska nie zginęła!...

nowym i po uwłaszczeniu. Ale w erze paskiewiczowskiej inteligencja i nie wyodrębniła się jeszcze od szlachty i nie stanowiła samodzielnego czynnika w polskim życiu.

Zresztą sam Kieniewicz, zwracając uwagę na rozrost rzeszy inteligencjonalnej w erze paskiewiczowskiej, zauważa jednocześnie, że „sprawy istotnie ważne dla kraju: początki oczyszczania, zjazdy klemensowskie, prace Steinkellera rozgrywają się poza zasięgiem inteligencji. Gdzieś tam bytuje cyganeria warszawska, marzą entuzjastki, Kraszewski i Korzeniowski moralizują społeczeństwo, księgarze przemycają nielegalne druki... Ale i wśród konspiratorów kto wysuwa się na plan pierwszy? Ziemiańcin Kamiński, ekskarmazyn Dembowski, kupiec Dobrycz, ksiądz Slegienny... Gdy Mierosławski szukać będzie w kraju jakiejś rewolucyjnej sily, która dałaby się przeciwstawić szlachcie, nie pomyśli o miejskim żywiole, tylko o dzierżawcach, rządach, gajowych, o mieszkańcach zaścianków i ten, jak go nazwie polski stan średni, predestynować będzie do partyzantki”. (St. Kieniewicz: Rodowód inteligencji polskiej, „Tygodnik Powszechny” z dnia 14.IV.46).

Krótko mówiąc inteligencja jako odrębnej warstwy społecznej jeszcze wówczas nie było.

#### DEGRADACJA I AWANS

Dla dyskusji nad problemem inteligencji ważne jest zarówno ustalenie pewnych pojęć socjologicznych i założeń metodologicznych, jak i chronologii społeczno-historycznego procesu. W sprawie chronologii najwięcej materiału dostarczył Kieniewicz. I nie ma zdaje się między nami różnicy co do tego, że przed powstaniem styczniowym nie może być mowy o wyodrębnieniu się inteligencji od szlachty. Na ten punkt wywodów Kieniewicza zwrócić tu uwagę.

Z tym wiąże się inna strona zagadnienia, która przez Kieniewicza nie została zupełnie uwzględniona. Kieniewicz wiąże wyodrębnienie się inteligencji jako warstwy z przejęciem przez nią przewodnictwa w walce o niepodległość.

Najpierw zwróć uwagę na pewną niejasność. Kieniewicz pisze, że „szlachta posiadająca rzekła, się przewodnictwa w walce o niepodległość. Od tej chwili inteligencja bierze w swe ręce odpowiedzialność za losy narodu”. Użyte określenie „szlachta posiadająca”, sugeruje, że przez inteligencję można tu rozumieć szlachtę nieposiadającą. Myślę, że takie rozumienie ówczesnej inteligencji nie byłoby dalekie od rzeczywistości.

W tej chwili chodzi mi jednak o inny moment artykułu Kieniewicza. Kieniewicz nie bierze mianowicie pod uwagę innego doniosłego wydarzenia, które czasowo zbiega się z powstaniem. Tym wydarzeniem było uwłaszczenie chłopów, stanowiące moment przełomowy w historii społecznej Polski. Z uwłaszczeniem zaczyna się druga faza procesu degradacji szlachty jako warstwy społecznej. Pierwsza faza, pozbawiająca szlachtę jej stanowiska politycznego, zaczęła się z rozbiorem, a właściwie z upadkiem powstania listopadowego, druga — z uwłaszczeniem. Z uwłaszczeniem szlachta traciła podstawę swego stanowiska społecznego, jaką miała dotychczas w państwie ustroju. Z tą drugą fazą procesu degradacji szlachty wiąże się ostateczne wyodrębnienie inteligencji jako osobnej warstwy. Podkreślam znowu, że nie chodzi mi o inteligentów w sensie jednostkowym lecz o intel-



gencję jako swego rodzaju „instytucję”. Rozpatrując pochodzenie „instytucji” inteligencji w tej płaszczyźnie, związałem ją z procesem degradacji, jakiej „instytucji” szlachty polegała zarówno wskutek politycznych dziejów Polski, jak i wskutek przeobrażeń związanych z rozwojem kapitalizmu. Teza ta oczywiście może podlegać dyskusji; historycy, którzy by się zajęli historią inteligencji, mogliby zapewne dostarczyć wiele materiału do uzupełnienia tej tezy, a może do jej zmodyfikowania. Na razie jednak żaden z polemistów, ani Zawodziński, ani Kieniewicz nie przekonali mnie o konieczności odstąpienia od tej tezy. Kieniewicz mimowolnie dostarcza nawet pośrednio dowodu słuszności tej właśnie tezy. Cóż bowiem znaczy twierdzenie Kieniewicza, że „łączy inteligencję całej Polski jedno wyraźne poczucie — własnej wyższości... nad szlachtą, która nie umiała jej (polskości) bronić”. Czy nie znaczy to między innymi, że inteligencja wyrastała na podłożu degradacji szlachty jako warstwy reprezentującej naród?

Do istotnych rysów inteligencji zalicza Kieniewicz „przekonanie, że ona jedna wyobraża naród”. Rys istotnie pierwszorzędnej wagi dla zrozumienia inteligencji jako warstwy społecznej. Z punktu widzenia tego właśnie istotnego elementu inteligencja jako warstwa wchodziła w dawną rolę szlachty. Ale jak to się działo, że dawna szlachta ustępowała miejsca tej nowej „szlachcie”. Tracenie przez stan szlachecki roli reprezentowania narodu należy właśnie do tego procesu ogólnego, który określiłem jako degradację.

Socjologiczny problem degradacji stanu szlacheckiego i „awans” nowej warstwy inteligentnej dotyczy wzajemnego stosunku tych dwóch formacji społecznych jako całości w obrębie układu stosunków całego społeczeństwa polskiego. Szlachta jako całość ustępowała wobec inteligencji wstępującej na jej miejsce. Proces ten miał nie tylko stronę polityczną, ale i społeczno-ekonomiczną. Degradacja szlachty polegała nie tylko na tym, że szlachta ustępowała inteligencji funkcje reprezentowania narodu. Degradacja ta polegała również na tym, że wielka własność rolnicza, gospodarcza podstawa szlacheckiego stanu i kultury szlacheckiej chyliła się ku upadkowi, zarówno na skutek rozwoju kapitalizmu, jak i na skutek reform gospodarczych. Wielec panowie, ich folwarki i dwory, traciły charakter kluczowych pozycji w społeczno-gospodarczej strukturze kraju. I w zakresie gospodarczym ich dawne kierownicze funkcje gospodarcze — jakkolwiek były one sprawowane — nie przechodziły na inteligencję, ale na nowe ośrodki miejsko-przemysłowe, z którymi inteligencja była na ogół luźno związana. Te zagadnienia uszły zupełnie uwadze p. Zawodzińskiego, który sprawę degradacji i awansu potraktował wyłącznie w płaszczyźnie indywidualnych karier szlacheckich — a nie w płaszczyźnie zmian w strukturze społeczeństwa.

#### ZAGADNIENIE CIĄGŁOŚCI HISTORYCZNEJ

Chciałbym jednak zauważyć, że tak samo jak nieuzasadnione jest szukanie genealogii warstwy inteligencji w zbyt odległych czasach, tak samo nieuzasadniony jest optymizm stwierdzający, że wpływ ery szlacheckiej w kulturze polskiej już się dawno skończył całkowicie. Nie wydaje mi się uzasadnione bagatelizowanie przez p. Zawodzińskiego siły tradycji szlacheckiej w naszych czasach. P. Zawodziński pisze, że „upatrywanie specyficzności grzechów naszej inteligencji w jej genealogii jest przebiegiem jej w kontusz, dawno już, jak wiadomo, wraz z innymi strojami narodowymi innych narodów, odesłany do muzeum historii kultury, wiedzy bardzo potrzebnej”. Nie chodzi o „grzechy” i o rozgrzeszanie. Chodzi o poznanie istoty zjawiska.

W odpowiedzi p. Zawodzińskiemu przypomnę, że w związku z krytycznym artykułem K. L. Koniańskiego na temat „Renesans heraldyzmu” p. K. Zawodziński pisał w „Przeglądzie Współczesnym” w 1937 r. „Można też ubolewać... nad zbytym pospiechem w udzieleniu obywatelstwa polskiego całej ludności odzyskanych w wojnie o granice Polski ziem. Proces zrastania się ich z resztą Rzeczypospolitej poszedłby drogą naturalniejszą i bez tarć, gdyby uwzględniono w pierwszym rzędzie tę część ich ludności, która swym dawnym i świeżym udziałem w walce o niepodległość stwierdziła solidarność z polską racją stanu. Szlachta zaściankowa... mogła by posłużyć jądrem rozszerzanego stopniowo przywileju w myśl tradycji polskiej i zamierzeń konstytucji majowej. Teraz już generalne wykorzystanie legowanego przez dawną Rzeczypospolitą i tworzącego podstawę jej jedności historycznej układu demograficznego, nie jest możliwe, choć coś nie coś można, być może zrobić; zaczyna to być rozumiane w sferach

miarodajnych „kompania szlachecka”, strzelców podhalańskich, ich przyjęcia u Prezydenta itp. ....ale pod tym względem, ziemie o których mówiłem, wciąż jeszcze są zaniedbane”. (K. W. Zawodziński „Renesans heraldyzmu”. Czy jest i czy potępienia podny? „Przegląd współczesny”, lipiec 1937, str. 98—99).

Jak widzimy przebiegiem w kontusz było jeszcze tak niedawno popularne zarówno wśród polskich polityków, jak i wśród polskich publicystów. Nie wątpię, że od tej pory wiele się zmieniło wśród inteligencji polskiej. Myślę jednakże, że przypomnienie tak niedawnych pomysłów oparcia rozwoju kultury polskiej na drobnej szlachcie (A. Heydel: Myśli o kulturze, 1936) może być pożyteczne dla „historii kultury, wiedzy jednak bardzo potrzebnej”.

Oczywiście historyka kultury opinie te nie interesują jako wyraz poglądów czy upodobań indywidualnych. One go interesują jako symptom społeczno-kulturalnej struktury państwa i narodu polskiego, w której całe połacie kraju i olbrzymie masy ludności były tak luźno związane z całością narodu i z jego elitą intelektualną, że każdy herb szlachecki wykryty w tej masie mógł być przez inteligencję brany poważniej jako element wspólnoty narodowej.

Wiązało to się także z historyczną koncepcją polskości opartej na dworze i szlachcie. Koncepcja ta nie tylko do ostatnich czasów ciążyła na poglądach inteligencji w sprawach kultury, ona także znajdowała wyraz w strukturze tak zwanej Polski B, która, jak się wyraził E. Kwiatkowski, ciągnęła się od granic wschodnich niemal aż pod samą Warszawę.

W rozważaniach na temat genealogii inteligencji nie chodziło mi o zrobienie wszechstronnego bilansu szlacheckich tradycji inteligencji, zarówno w sensie pozytywnym, jak i negatywnym. Gdyby o to chodziło, to wśród przejawów ciągłości historycznej szlachty i inteligencji wymienić trzeba by było na pierwszym miejscu ciągłość bohaterstwa walki o wolność i niepodległość, ciągłość wyrażającą się w łańcuchu powstań, nie wyłączając ostatniego powstania warszawskiego. „Historyczna pamięć inteligencji krajowej zatrzymała się na tym jednym, spośród wszystkiego, co pozostawiło jej tysiąclecie — na legendzie żołnierza”. (A. Jaluwicki: Mit narodowy, „Przegląd Współczesny”, 1939 r. styczeń str. 30.). Legenda ta wiąże się przy tym z innym istotnym elementem kultury szlacheckiej — z ideą honoru. Słusznie W. Kętrzyński w „Tygodniku Powszechnym” wiąże powstanie warszawskie ze sprawą honoru. Nie pierwsze to powstanie polskie, które było sprawą honoru, a nie rozumu politycznego. Piękny to strój kontusz — i kosztowny.

Kontusz szlachecki, traktowany rozumie się metaforycznie, jako symbol szlacheckiego okresu kultury polskiej nie był i nie jest tylko zabytkiem muzealnym. Gdyby tak było, to znaczy, gdyby istotnie między inteligencją, przodującą warstwą narodu a szlachtą została zerwana całkowicie ciągłość, nie byłibyśmy historycznym narodem. Nie byłibyśmy w ogóle narodem, gdyż naród istnieje tylko przez swoją historyczną ciągłość. Tego faktu nie może przeczyć naukowa analiza. Dociekania moje ograniczały się tylko do genealogii inteligencji polskiej jako warstwy i tylko mimochodem mogę dotknąć istotnego problemu historycznej ciągłości kultury narodowej poprzez okresy hegemonii różnych warstw społecznych.

#### AKTUALNOŚĆ PROBLEMU INTELIGENCJI

Obracaliśmy się dotychczas w sferze zagadnień socjologii i historii inteligencji polskiej. Zagadnienie inteligencji nie jest jednak oderwane od naszej współczesnej rzeczywistości polskiej. Przeciwnie ma ono gorzki smak życia. Jest to jedno z czołowych zagadnień chwili bieżącej, którego nie można przemilczeć. Zagadnienie inteligencji należy do istoty społeczno-politycznej rewolucji jaka się u nas dokonuje. Fakt ten występuje w całej doniosłości dopiero w świetle socjologicznej i historycznej analizy problemu inteligencji w Polsce. P. Litwin pisze, że „mamy poza sobą drugi etap rozwoju polskiej kultury — kultury mieszczańskiej. Wkraczamy w etap trzeci”. P. Litwin traktuje zagadnienie inteligencji jako zagadnienie pochodne od mieszczaństwa. Na poparcie tego stanowiska nie podaje żadnej argumentacji, jak gdyby rozumiało się ono samo przez się. Tymczasem teza ta, wynikająca z bezkrytycznego przeniesienia uogólnień historii zachodnio europejskiej na Polskę, nie odpowiada stosunkom polskim.

Istota problemu polega na tym, że w Polsce miejsce szlachty jako warstwy dominującej i reprezentującej całość narodu,

zajął nie mieszczaństwo, jak na zachodzie, lecz właśnie inteligencja — warstwa pochodna szlachty a nie mieszczaństwa. W tym charakterze warstwy reprezentującej całość narodu kształtowała się inteligencja polska w okresie zaborów. Ten charakter zachował również mimo wszystko w okresie 1918—1939.

F. Goetel, jeden z czołowych publicystów Obozu Zjednoczenia Narodowego, pisał przed samą wojną w 1939 r. „Nie piszę żadnych dytyrambów na cześć szlachetczyzny — ale trzeba przecież powiedzieć sobie, że nic, ale to nic nie upoważnia nas do głoszenia zmierzchu polskiego szlacheństwa. I nie ma żadnych podstaw do twierdzenia, że jakikolwiek stan w Polsce może już dziś zmienić naszą inteligencję, wywodzącą się ze szlachty, albo wychowana w tradycjach szlacheckiej kultury...” (F. Goetel: Pod znakiem faszystów, 1939 r. str. 136—138).

Ten mit szlacheckości polskiej inteligencji był, jak słusznie pisze p. Zawodziński, rozpowszechniony wśród inteligencji niezależnie od jej pochodzenia. I wszystko jedno, czy zgadzał się ze statystyką pochodzenia inteligencji. Jego powszechność świadczyła o wyodrębnieniu się inteligencji w osobną arystokratyczną warstwę społeczną. Można dowodzić nieprawdźliwości tego mitu, jak to czyni Zawodziński. Ale inteligencja tym bardziej odczuwała potrzebę tego mitu szlacheckości, im bardziej oddalała się od szlachty w swoim pochodzeniu, nie tracąc jednak szlachecko arystokratycznych ambicji. Ten mit uswięcał poczucie odrębności inteligencji

i dawał jej tytuł historyczny do reprezentowania całości narodu i do szczególnego w nim miejsca. Fakt, że inteligencja polska zachowała do naszych czasów charakter dominującej arystokratycznej warstwy społecznej sprawia, że wymaga ona bardziej wszechstronnego oświetlenia niż dotychczas. Inteligencja stanowi kluczową pozycję całej historii społecznej Polski XIX i XX wieku.

I jeżeli dzisiaj inteligencja jako warstwa historyczna, jako arystokratyczna warstwa dominująca „w naszych oczach zapada się w przeszłość” jak pisze Spectator, to zagadnienia tego nie podnosimy po to, aby inteligencji wytknąć wady lub wskazać zasługi. Analiza historyczna i socjologiczna tego problemu jest konieczna po to, aby zdać sobie sprawę z istoty i rozmiarów procesu historycznego jaki się dokonywa. Kończy się drugi okres polskiej kultury — polska inteligencja. Doniosłość tego procesu powinni zrozumieć zarówno ci, dla których problem inteligencji to tylko sprawa zawodowego wykształcenia pracowników umysłowych, jak i ci spośród inteligencji, którzy wbrew historycznym tradycjom tej warstwy brania odpowiedzialności za całość narodu, czekają z decyzją wzięcia aktywnego udziału w dokonywującym się historycznym procesie. Inteligencja ma olbrzymie zadanie do spełnienia w nowej historycznej roli intelektualnej elity chłopsko-robotniczego narodu, a nie w dotychczasowym charakterze osobnej arystokratycznej warstwy społecznej.

Józef Chałasiński

RYSZARD MATUSZEWSKI

## Spacer nad Wisłą

W czerwcu czerwiec jest jasna: czeresińowy ranek. Czerwone dachy, niebo, nad dachami błękit. Nim wyjdiesz — zapach kawy i brzęk filiżanek, niedziela, lot motyla, dotknięcie twej ręki.

Wdziej dzień jak suknię letnią, przyoblecz nim pamięć: dzwoni tramwaj, mknij z nami, albo wał wiślany zieloną ścieżką — tam w poranka ramie mgliste widnieją sady i białe Bielany.

Zielona mapa działek, dolny park i wille, czerwone dachy świecą domki Żoliborza, w prawo Wisła sinituje a na niej flotyła żagli i płasków beżmiar jak nad brzegiem morza.

W lewo, gdy miniesz łacę, parę kroków pieszo, — jesteś w sadzie: tu wiśni ileć tylko chce się; ulicą Kamedułów, albo wałem, ścieżką idąc, w pięć minut stajesz na Bielanych, w lesie.

Tam rozłożyste dęby, akacje, topole i skrzęt szosy, co łukiem pod klasztor podchodzi, wyschłe źródło i pomnik: na jego cokole wypisane są miary zamierzonych powodzi.

Patrz, dotąd sto lat temu sięgnął wody przybór, zalał łąki i sady, nas nie dotknął wcale: nasz dom spokojny stoi, strzeżony od przycóg, gdy tak spacerujemy po wiślanym wale.

Możemy wracać, jeśli jesteś już zmęczona, tylko jeszcze przez chwilę postójmy nad rzeką: niech poranek, topole i dal urzeczona na zawsze pod zamkniętą zostaną powieka.

Wracajmy póki jeszcze powrót jest możliwy, bo przyjdzie powódź taka, co i nasz dom zniszczy, i tylko w mgłę pamięci, jak młodość szczęśliwy, zostanie letni spacer po bielanskim lesie.

## Żoliborz

Żoliborz: joli bord, — bardzo dalekie, piękne wybrzeże. Piękna dzielnica: marzenia port, labirynt najsekretniejszych ścieżek.

Domy: szary front serc, zamiarów, myśli; przez nie prowadzi łont walki i nienawiści.

Tutaj — niemalże codziennie nocą — aut ciemnozielonych kolumny. Nad wyprowadzonymi — niebo: milczenia posąg, niżej: wieko więziennej trumny.

Miła! są tu ogrody, wille, róże, bzy, piękno i trumny:

Jak ci to wytłumaczyć, żeby serce nie pękło?

Żoliborz — pięć wojennych lat: domy, ludzie, marzeń dynamit. Dzisiaj — krótki bilans zysków i strat: po jednej stronie — Zwycięstwo, po drugiej — dzielnicy krwawy strzęp, domy i serca podziurawione kulami.

Kokasz Żoliborz? Patrz — piękny brzeg: Wisła, piasek, mielizny. Dla mnie Żoliborz — wiesz — to brzeg mojej wolnej Ojczyzny...



K. W. ZAWODZIŃSKI

## T Y X H

## czyli o lekturach wojennych

Nie wiedziałem jeszcze nic o tej bogini, nie znałem jej ani mitycznego rodowodu, ani kształtu w jakim oczom śmiertelników zwykła ją była przedstawiać sztuka grecka — a już byłem jej gorącym czcicielem i wyznawcą. I nie wargami ją tylko wyznawałem, ile że wiara bez uczynków jest martwa; nie czyniąc obrzędem ją czcilem, jako obłudnicy: powierzałem się jej opiece chętnie i na ślepo, w kartach, w ogniu bitwy i w pędzie konia. Żem karku ostatecznie nie zламаł, nie będę liczyć: czym łask więcej odebrał po drodze, czy razów; to pewna, że w dziedzinie, gdzie jej pomocy najmniej się spodziewałem, pomoc jej najbardziej zaważyła.

Zdawałoby się rozwój umysłowy człowieka i kierunek jego zainteresowań zależą wyłącznie od przyniesionych na świat predyspozycji, zdolności pracowitości, są przy tym społecznie przynależnością klasową uwarunkowane. Najmniej, zdawałoby się od przypadku — z wyjątkiem pierwszego i zasadniczego przypadku urodzenia — są zależne. A przecież przypadkiem, od tego pierwszego niezależnym, było np. to, że zawsze na ławie szkolnej (a zmieniałem ich sporo zanim w oficjalne zaświadczenia zdobytej wiedzy zdołałem się na drogę życia zaopatrzyć) znajdowałem towarzyszy, których wartość umysłową i talenty miała późniejsza ich działalność w społeczeństwie naszym czy obcym potwierdzić.

Niemniejszy od kolegów wpływ na rozwój człowieka wywiera przeczytana a zwłaszcza wyczytana do dna książka. A wybór jej nie zawsze jest od naszej woli zależny. W pewnych okolicznościach i to zwłaszcza kiedy żyjemy pod despotyczną władzą bogini przygody, więc na wojnie przede wszystkim, wkłada nam książkę do ręki przypadek. Gdyby nie wybuch pierwszej wojny światowej mógłbyśmy wzbogacić swą erudycję w zakresie powieści francuskiej XVIII w., kończąc swą tezę uniwersytecką o autorze *Diabła zakochanego*, wziętego do ręki też zresztą przypadkiem, który mógłby być pod innym piórem tematem ślicznej noweli, „ze wspomnień młodości” — durnej i jurnej. Ale Jacques Cazotte poszedł do diabła, ponieważ niezależnie od mej woli Austria wypowiedziała wojnę Serbii. Bez tego za to nigdybym nie wczytał się w Puszkina, którego jedynotomowy zbiór dzieł był jedynym towarzyszem mej samotności w tyfusowym szpitalu polowym i ta akurat książka, niedługo przedtem złapana na jakiejś przypadkowej kwaterze w wyludnionym mieście, znalazła się wśród rzeczy nieprzytomnego od gorączki żołnierza, dostarczonego z pułku do najbliższego sanitariatu. A potem w okopach, jeszcze później w obozie jeńców w Szezyponnie, czym zabijało się nudne dni i tygodnie? Przypadkową lekturą krających wód towarzysząc broni książek, z których każdy miał choć jedną w swym chlebaka czy torbach przy siodle, najczulszej zasargana, odbarta, bez okładki, tytułu i autora domyślać się trzeba było, nieraz z trudem, gdy jako porywający powieściopisarz, śmiały, sprawny duszoznawca, artysta na poziomie europejskim ukazywał się nieoczekiwanie „stary nudziarz” Kraszewski. I później jeszcze, w napół zniszczonych litewskich dworach, podniesiona z ziemi książka odsłaniała mi bogactwa powieści polskiej 19-go w., do którejby inną drogą nie trafił; napewno by zaś, bez szczęśliwej przygody wojennego postoju, nie zapoznałbym się z przedziwnie dojrzałą a dalekosiędną (choć wychodzącą od przyziemnych rozważań, których tematem jest *homo economicus*) myślą J. Supińskiego, tego rodzimego pre-pozytywisty, znanego dla epoki przechodzenia Polski w stadium gospodarki kapitalistycznej, a ileż mu światła zawdzięczam przy wciąż aktualizujących się w ciągu „dwudziestolecia” zagadnieniach społecznych i ekonomicznych!

Gdy zacząłem już pisać i drukować, w ciągu wielu lat nosiłem się z zamiarem publicznego zdania sprawy z tych „lektur wojennych”, w których książka, wzięta do ręki

## TREŚĆ NUMERU:

W poprzednim (19) numerze „Kuznicy” z dnia 20 maja 1946 r.: Adam Ważyk: Nowe wieźsze. — Spectator: Spór o inteligencję. — Jerzy Pogorzelski: Szach i Zindia. — Maria Szczepańska: Na przedmieściu. — Jan Rójewski: Siedem dni. — Adam Szaff: Tabu obiektywnej nauki. — Mieczysław Wionczek: Noty o muzach nad Tamizą. — Juliusz Saloni: Prawda Grażyny. — Jan Kott: Prawo wydawania klasyków. — Ryszard Matuzewski: Nowe wydawnictwa poetyckie. — Władysław Michałow: Musimy się porozumieć. — Kronika zagraniczna. — Halina Kirst: Idziemy na zachód. — Pierwsze po wojnie przedstawienie Szekspira. — awk: „Freuda teoria snów” w Teatrze na Pięterku. — Edward Szuster: Żądło Genowefy. — Stanisław Brucz: Manowce romantyzmu społecznego. — Noty. — ph.: Przegląd prasy.

poza „kontekstem” stałych zainteresowań, ukazuje swe nieoczekiwane, może niedostrzeżone dotychczas a przecież niekiedy najprawdziwsze oblicze.

Wykonanie zamiaru, odkładane wskutek bezwładnego poddania się nieprzerwanemu strumieniowi spraw zwykłych dla mego istnienia z powodu pozostawania w kręgu z góry określonych zainteresowań, zostało wreszcie uniemożliwione przez wybuch drugiej wojny światowej, przerywającej na długo, nie tylko stworzonymi przez się materialnymi warunkami, jeszcze bardziej atmosferą niepewności i zamętu, działalność pisarską zwłaszcza i najbardziej zdecydowanie w zakresie krytyki. Ale warunki nowej wojny aczkolwiek dla mnie osobiście zupełnie różne od warunków pierwszej dały mi nową serię „lektur wojennych”, ponownie choć nieco odmienne wyjście poza nieubłagane prawo przyczynowości, determinujące u mnie, jak zresztą u każdego pracownika na polu humanistyki czy nawet każdego pracownika umysłowego, przykładającego się do powstania nowych wartości kulturalnych, krąg czytanych i praktycznie biorąc dostępnych mu książek.

Pozwólmy sobie na uogólnienie, usprawiedliwiające zresztą jedynie zaprzątanie uwagi czytelnika wspomnieniami osobistymi. Jeśli można podzielić z grubsza ludzkość z punktu widzenia stosunku do książki na dwie kategorie: konsumentów i producentów, czytających i piszących, to ku zdumieniu niejednego z pierwszej kategorii, ludzie drugiej najmniej czytają a przynajmniej — najmniej swobodnie, najmniej korzystnie ze stanowiska ogólnego rozwoju człowieka. Po miłymi nawet czas zużywany na pisanie — czynność ta u większości konsumentów książki (zwłaszcza mężczyzn — kobiety są tu uprzywilejowane i niewątpliwie piękna połowa rodzaju ludzkiego przoduje w zakresie konsumpcji książki) jest równoważona przez zajęcia zawodowe, pracę zarobkową — czas rozporządzalny na cele lektury u producenta książki jest z góry zajęty przez czekającą przestudiowania „literaturę przedmiotu” czy przedmiotów zajmujących pisarza. Nawet gdy jest ich kilka, z korzyścią może dla szerokości spojrzenia na świat, ale ze względu na pogłębienie erudycji w określonej dziedzinie specjalności — sytuacja jest analogiczna do wytyczonych przez cele i warunki żeglugi szlaków na niezmiernie powierchni oceanów. Parowce płyną po najkrótszych liniach od portu do portu, żaglowce wybierają drogę uzależnioną, od najkorzystniejszych dla ich kierunku wiatrów, panujących jak wiadomo z wiekowych obserwacji, w danej porze roku w określonych strefach — zawsze są to tylko wąskie szlaki, poza którymi zostają nieodwiedzane przez nikogo bezładne wyspy i całe pustynie wodne, gdzie latami nie dojrzy się ani żagla ani pióropuszu dymu. Chyba rybak tam zajrzy, lub zaciągnięty przez uciekającą zdobycz wiewiórki; ale i ten, najbardziej bóstwu przygody hołdujący żeglarz, dziś mniej ulega jego pokusom: udoskonalona broń pozwala mu szybko zakończyć łowy, zaocone zwierzę nie ujdzie daleko od harpuna wyrzuconego z dalekonośnej armatki, a poza ustalone przez przyrodników strefy przebywania wiewiórek nie warto się wychylać. Epoka odkryć geograficznych skończyła się już dawno.

Wracając od ogólników i obrazowych porównań do konkretnych przykładów, zmierzmy możliwości wyboru książki u powracającego z biura, po swych sześciu godzinach pracy urzędnika, z moimi, krytyka literackiego. Doba dla nas obu ma tylko 24 godziny, z których jakąś część, niestety, bardzo znaczną, pochłania sen, jedzenie, a w dzisiejszych czasach jeszcze dodatkowo chodzenie za kartkami i deputatami. W pozostałym „wolnym” czasie, poza pisaniem (o czym wyżej) i nieuchronną koniecznością osobistego lub listownego porozumienia się z redakcjami, wydawcami, kolegami po fachu, oczekuje krytyka obowiązkowa lektura czasopism literackich. Najciekawsza to zresztą i najpożyteczniejsza część strawy duchowej, dostarczająca wiadomości stosunkowo najogólniejszych, między innymi o książkach, których by inaczej nie wzięto się do ręki, i orientująca w zainteresowaniach i nastrojach chwili; bez tej orientacji praca krytyka byłaby jeszcze bardziej na marginesie współczesności i jeszcze bardziej obojętna dla czytelnika, niż jest naprawdę. Poza tym zostają nadsyłane przez wydawców i autorów książki; dziś to nie jest zbyt groźne, ale przed wojną codziennie nieomal przychodziły paczki z pocztą, za które trzeba było dziękować, a potem pisać recenzje lub tłumaczyć się z ich niepisania. Prócz tego konieczność uzupełnienia wiadomości w zakresie prac leżących na warsztacie. Skąd tu wziąć czas (doba ma tylko 24 godziny) na odczytanie arcydzieł przeszłości, dla porównania ich dzisiejszej recepcji ze wspomnieniami wrażeń odebranych przed laty? Jak tu urczywistnić marzenia o „podróży w nieznane” przeszłości literackiej, o odkryciach w tak zaniedbanej przez krytykę specjalnie polską, literaturze drugoplanowej, pomijanej lub zbywanej krótko przez pod-

współczesności.

P. S. Na zakończenie jedno zastrzeżenie natury osobistej: podnosząc dobroczynne pod pewnym względem skutki wojny, mogę ująć za jej chwalcę, za militarystę; podejrzenie to tym łatwiej na mnie, ze względu na mój dawny zawód, paść by mogło, że nigdy przedtem nie miałem okazji zmanifestowania, czego bardzo pragnąłem, swego pacyfizmu. Pragnąłem zaś ze względu na środowisko, w którym działałem jako pisarz, na progu mych lat męskich, Pacyfizm był tam zasadą obowiązującą, której wierność należało dochować, mimo wszystko i przy wszelkim układzie okoliczności. Na zapytanie „a co jeśli będziemy napadnięci?” słyszało się z ust znakomitego poety lub wybitnej pisarki odpowiedź: „nie bić się, nie stawiać oporu — to samo przez się zlikwiduje wojnę”. Było to swoiste zastosowanie ewangelicznej zasady „nie sprzeciwiania się złemu”; jednocześnie radykalne i nieomyślne rozwiązanie, sprawy wiecznego pokoju — byle jeszcze trochę upowszechnić posłuszeństwo naczelnej świętej zasadzie. Propaganda na jej rzecz rozszerzała się w Europie; nie doprowadziła wprawdzie do tego żeby tysiąc SS-manów zapanowało nad światem, ale doprowadziła do znanej uchwały młodzieży oksfordzkiej, odrzucającej w każdym wypadku służbę pod sztandarami J. K. Mości; a może i do tej sytuacji, że dwa mocarstwa, które miały być strażnikami pokoju, w decydującej chwili okazały się słabsze od przewidywanego mściciela pokoju, którego miały pilnować. Na kilka lat przedtem, zanim to nastąpiło, wstyd w każdym razie było ściągnąć podejrzenie wojowniczości; wstyd nawet było nieco, gdy się nie mogło zaprzeczyć uczestnictwa w ostatniej wojnie. Albowiem, człowiek, który przeżył wojnę (pamiętajmy, że w owych czasach to znaczyło: żołnierz, gdyż społeczeństwo cywilne było jeszcze na ogół hermetycznie odgródzone od rzeczywistości wojennej), w oczach pacyfisty mógł być tylko jej ofiarą, kaleką psychiczną, niezdołnym uciec od straszliwych wspomnień w alkoholu lub kokainie szukającym ratunku i snu, przerywanego przez wizje oglądanych okropności, lub też sadystą rozkoszującym się chrzestem kości, przewiercanych przez bagnet. Kto mundur po wojnie nie zrzucił ten chyba, do tego drugiego typu uczestników wojny należy. Pragnąłem więc wtedy „oczyszczyć się publicznie z piętnującej mnie hańby a otworzywszy dno serca — ukazać w nim marzenie o wiecznym pokoju oraz wiare, że każda w szeregu wojen zbliża nas do ostatniej, po której „jeden pasterz i jedna owczarnia” (zapomniawszy, że według tradycji kościoła nastąpi to już przed końcem świata, a jak teraz już wiemy, nawet jednocześnie biorąc pod uwagę bombę atomową).

Uraz tkwił we mnie mocno, jeśli się odezwał w chwili gdy nie apoteozę wojny pisałem, a tylko jedną „okoliczność łagodzącą” na rzecz zbrodniarki przytoczyć się ośmieliłem. Niewątpliwie jednak i biorąc ogólniej, wojna jest naruszeniem monotonii mechanicznego, raz na zawsze ustalonego biegu rzeczy, a więc rodzicielką nowości, tę odnowicielską jej funkcję wolno podnosić, nie będąc militarystą; tak jak wolno być piewą dobroczynnych skutków śmierci we wszechświecie, nie będąc ani samobójcą, ani katem, tylko np. poetą-filozofem Boratyńskim.

Uraz tkwił we mnie mocno, jeśli się odezwał w chwili gdy nie apoteozę wojny pisałem, a tylko jedną „okoliczność łagodzącą” na rzecz zbrodniarki przytoczyć się ośmieliłem. Niewątpliwie jednak i biorąc ogólniej, wojna jest naruszeniem monotonii mechanicznego, raz na zawsze ustalonego biegu rzeczy, a więc rodzicielką nowości, tę odnowicielską jej funkcję wolno podnosić, nie będąc militarystą; tak jak wolno być piewą dobroczynnych skutków śmierci we wszechświecie, nie będąc ani samobójcą, ani katem, tylko np. poetą-filozofem Boratyńskim.

STYCZEŃ LUTY MARZEC 1946  
NAKLADEM SPÓŁDZIELNI WYDAWNICZE

## »CZYTELNIK«

ukazały się następujące nowości:

Brzechwa J. — Kaczka - dziwaczka. Il. F. Themerson . . . . .	zł. 150
Brzechwa J. — Tańcowała igła z nitką. Il. F. Themerson . . . . .	„ 120
Chroboczek E. — Ogród warzywny przy domu. (B-teka Zw. Samopomocy Chłopskiej Nr 1) . . . . .	„ 5
Gojawiczyńska P. — Krata. Powieść. 2 nakład . . . . .	„ 100
Holuj T. — Próba ognia. Powieść . . . . .	„ 140
Kalendarz Zw. Samopomocy Chłopskiej . . . . .	„ 70
Kirchmayer J. — Geneza powstania warszawskiego. (B-teka społeczno - polityczna) . . . . .	„ 20
Kornacki J. — Oczy i ręce. (B-teczka Młod. Czytelnika Nr 6) . . . . .	„ 50
Kott J. — Mitologia i realizm. Szkice literackie. (Tacyt, Stendhal, Gide, nadrealizm, Conrad, Malraux) . . . . .	„ 190
Mościcki H. — Tadeusza Kościuszki wskazania obywatelskie. (Wybór myśli) . . . . .	„ 15
Nałkowska Z. — Granica. Powieść. Wyd. 5. . . . .	„ 140
Rymkiewicz K. — Margrabia Wielopolski . . . . .	„ 80
Rymkiewicz W., Tuhan B. — Człowiek o dwóch twarzach. — Powieść historyczna dla młodzieży . . . . .	„ 120
Sienkiewicz H. — W pustyni i w puszczy . . . . .	„ 160
Szmaglewska S. — Dymy nad Birkenau. 2 nakład . . . . .	„ 160
Tolwiński S. — Zagadnienie samorządu w świetle doświadczeń demokracji ludowej . . . . .	„ 180
Wasilewska W. — Pokój na poddaszu. Wyd. 2. (B-teczka Młod. Czytelnika Nr 5) . . . . .	„ 45
Wawrzkiwicz L. — Uprawa morwy i hodowla jedwabników . . . . .	„ 40
Wiśniewska M. — Marmotek z gór. Il. W. Stańczykowski . . . . .	„ 60

Do nabycia we wszystkich księgarniach.



MIECZYSLAW WIONCZEK

# Sklep wypalony na żużel

Londyn, 10 kwietnia 1946.

„Sklep wypalony na żużel”.

Napis: „Business as usual”.

Z tomu wierszy satyrycznych o emigracji Mariana Hemara p. t. „Marchewka” — Londyn 1943.

Gdyby właśnie nie napis na wypalonym sklepie: „business as usual” i gdyby nie to, że „sklep emigracyjny” mimo wszystko czynny jest w permanencji, można by całą sprawę emigracji przekazać do rozważania przyszłym historykom drugiej wojny światowej. Bo ostatecznie stany psychiczne i dalsze koleje kilku czy kilkunastu tysięcy bankrutów nie są sprawą na tyle ważną, aby poświęcać jej czas i uwagę w chwili, kiedy w kraju ważniejsze są prace do wykonania. Ale i emigracyjni bankrucci i emigracyjne Wernyhory nie zrezygnowali z swej działalności i broną się zjadale przeciw kolejom wypadków spychających ich do londyńskiego gabinetu Figur woskowych madame Toussaud. I nie wiadomo jeszcze, czy szkody wyrządzone przez nich sprawie polskiej w ciągu wojny większe są od szkód, wyrządzonych dzisiaj i możliwych do wyrządzenia w przyszłości bliższej i dalszej. W każdym razie ich pole działania większe jest niż wydaje się to nam, gdy patrzymy na „londyńczyków” z perspektywy kraju, gdzie „mił Londynu”, którego skutki przeżywalimy na własnej skórze, uwiłd ostatecznie.

Dramat polega na tym, że pan Władysław Raczkiewicz e tutti quanti wciąż jeszcze, jeśli nie w prawnym, to w faktycznym zasięgu mają takie pozycje, jak koło ćwierć miliona żołnierzy polskich na zachodzie, ponad pół miliona Polaków w Niemczech, dziesiątki tysięcy na Bliskim Wschodzie i znakomita część dawnego wychoźstwa, idącego w miliony, w obu Amerykach. Tego kapitału politycznego „emigracja londyńska” broni i bronić będzie wszelkimi siłami, stosując metody, w których kłamstwa i oszczerstwa są chyba najniebezpieczniejszą bronią. Ani pan Raczkiewicz, ani jego otoczenie, ani nawet ludzie którzy byli jego przeciwnikami czasu wojny, a teraz mając odciętą drogę powrotu do kraju przysłusowali doń, nie chcą timże śmiercią polityczną, o czym świadczą gorączkowo ożywiona ich działalność we wszystkich ośrodkach emigracyjnych. Trudno zresztą oczekiwać tej najwyższej z cnot politycznych — cnoty rezygnacji od ludzi, którzy przez cały czas swego politycznego żywota wykazywali wspaniałe współzestawienie wszystkich możliwych grzechów i wad. Rezygnować mogą tylko mężowie stanu, nie poltrafia tego ani polityczni awanturnicy, ani sklerotyczne balwany, na które to dwie kategorie daje się podzielić prawie bez reszty elita „emigracji londyńskiej”. To, co po tym podziale pozostaje nazwanym, to masa odpułconych szarych ludzi, których zachloroformowano w ciągu ich pobytu na emigracji tak doskonale, że jeszcze dzisiaj, skoro potrąci się ich przypadkiem w tłoku ulicznym lub zadraśnie w próbie dyskusji, potrafią wyrzucić z siebie tylko poszczególne zwroty, jakie utkwiły im w pamięci z wielokrotnych przemówień emigracyjnych wodzów i z lektury emigracyjnych gazet. Miesza się tu „silna, wolna, niepodległa”, z „precz z obcymi agentami” i „świętego ciała Rzeczypospolitej nie szargać” z „wysoko nieś bedziemy sztańdar”. Chloroform działa tym skutecznie, im dalej od kraju znajdują się jego ofiary. Cóż tedy dziwnego że na zeromadzeniach Polonii amerykańskiej uchwała się niewysyłanie paczek żywnościowych do rodzin w Polsce, a w osadach polskich we wschodniej Afryce kobiety polskie z naboju czarnym potomstwem zanoszą przed wiejskimi ołtarzykami w dzwonił modły do świętych pańskich, aby spuścili deszcz ośmiste na wysłanników szatana, rządzących ich ojczyzną. (Obie autentyczne historie zaczerpnięte z prasy emigracyjnej). Te opary chloroformu unoszą się wciąż i nad wspomnianymi brytyjskimi. Sorobuimy się przez nie przedzierać, aby oczami człowieka z kraju ujrzeć, co tkwi za nimi.

## PARAWANY I RZECZYWISTOŚĆ

Przypomnę, że pierwsze piśmienne relacje ludzi, którzy przybyli z emigracji zachodniej do Polski przeszły stanowczo moje oczekiwania. Wiadomo było przedtem, że działały się tam rzeczy przykre, bezenowne i niepojęte w swej tępotie; przypuszczano, że wiele tam być musiało głupoty i złej woli. Wreszcie, nie było tajemnicą, że na wyspach brytyjskich wyładowali w roku 1940 ostatecznie prawie sami ludzie o podładach konserwatywnych reakcyjnych pravicowych, sanacyjnych czy jak je nazwać, ale zawsze oczekiwano, że są to ludzie o jakichś poglądach, coś reprezentujący, mający jakąś linię, jakąś mądrzejszą czy mniej mą-

Wydawało się więc, że te pierwsze relacje są przesadzone, przejawskawione żalami osobistymi czy też neoficką gorliwością. A jednak widzę dzisiaj, że nie były i nie są ani przejawskawione ani przesadzone. Po pięćdziesiątej chyba rozmowie z szarymi ludźmi z emigracji, którzy przyglądali się temu „sabatowi czarownic” z bliska, po przeczytaniu stosów wydawnictw emigracyjnych od dzienników do broszur politycznych i śpiewników harcerskich, nabrałem nawet przekonania, że wszyscy, co pisało dotąd o „emigracji londyńskiej” jest równie blade i nie odpowiadające rzeczywistości, jak angielskie filmy o Gestapo — praktykom Niemców w krajach okupowanych. Nie, nikt z kronikarzy kulisów emigracji nie potrafił dotąd oddać ponurej nędzy politycznej, społecznej, intelektualnej i moralnej elity emigracyjnej, która przez szereg najcięższych dla kraju lat nosiła w jego imieniu „wysoko sztańdar Rzeczypospolitej” i powiewała tym sztańdarem przed oczami ludzi, którzy bądź w kraju bądź na wszystkich frontach świata ginęli zasluchani w głos londyńskich szamanów.

Z tych dzisiejszych rozmów z masą emigracyjną wybija się na plan pierwszy jeden ponury fakt. Za zręcznym parawanem wielkich nazwisk: Paderewskiego, Liebermana, Sikorskiego, gdzie każdy z nie w tajemniczonych w kraju i na emigracji miał coś wedle woli do wyboru, co należało szanować, od dnia przekroczenia przez szacowną zoraję zbiegów granicy rumuńskiej, trwoniła ona całą swoją energię na grę o dwie stawki: niejsze, na świeczniku i związaną z tym „dołą” — pewne kwantum franków, funtów czy dolarów z funduszy państwowych i subsydów alianckich. Walkę prowadzono w to nacji ściszonej, ze względu na „honor państwa i emigracji”, ale była ostra i obfitowała we wszystkie możliwe metody utracania przeciwników od awantur zwykłych przez szantaże i donosy do dyskryminacji politycznej i wojskowej. Tak w każdym razie wygląda nienapisana przez nikogo historia kulisów emigracji, o których opowiadają mi dzisiaj urzędnicy i maszyniści byłych ministerstw i wszelkich urzędów, młodzi oficerowie i zwykli szeregowcy. Opowiadają w zgroźcie serca, są jednogłośni. O pułkownikach, którzy w bieliźnie dezertowali od swoich oddziałów w kampanii francuskiej i odnajdowali się w pełni chwały w Londynie, o ministrach i dyrektorach departamentów zatrudniających bliższe i dalsze rodziny przy tak ważnych pracach jak planowanie produkcji butelek do piwa w Polsce powojennej (autentyczne), o gratyfikacjach i funduszach specjalnych, o walkach „Rubensa” ze „Strattonem”, a „Strattona” z „Rubensem” o wykażaniu ludzi którzy protestowali przeciwko „vie scandaleuse” elity. Mają materiału do rodzinnych opowieści i wszędzie i zawsze wyskakują z tych opowiadań te same nazwiska, ci sami ludzie znani nam tylko z przedwojennej rubryki dzienników: życie oficjalne i widziane przez nas raz tylko — w czasie kampanii wrześniowej z kufkami w urzędowych Buickach bądź z trzęsającymi się tyłkami i twarzą w biaśku podczas nieprzypadkowych nalołów.

Nie było ich ani nad Wartą, ani pod Kutnem, ani pod Lenino, ani pod Tobrukiem ani pod Monte Cassino, ani w inwazji; w czasie bombardowania Londynu mieszkali poza miastem. Ostatecznie wyszli z wojny nie gorzej, niż w nią weszli. Mimo klęski politycznej, moralnej, wszelkiej. Wszedli z kontami w bankach londyńskiego City. Szczęść milionów Polaków straciło życie. Oni odkładali tezauryzowali, kradli — jeśli kto woli. Dzisiaj tworzą dalej „elitę emigracyjną”. Są niezależni finansowo, mogą spokojnie żyć, mogą wreszcie działać w onerciu o fundusze „Interim Treasury” i o dolary Polonii amerykańskiej. Chloroformują — oczywiście — nie za swoje, prywatne pieniądze, głosząc całemu światu, że tylko oni i właśnie oni reprezentują niezależną, niepodległą niko mu opinie polską.

Pytam moich rozmówców — dlaczego opowiadają te rzeczy dopiero mnie i dopiero teraz. Mnie, człowiekowi, którego nie widzieli przez sześć lat, bądź którego widzą po raz pierwszy w życiu. Dlaczego nie krzyczeli wtedy, kiedy to się działo? Twierdzą zgodnie, że było niesposób. Każdy głos opozycji wśród emigracji cywilnej — prowadził do pozostawienia człowieka własnemu losowi, każdy głos opozycji w wojsku — do wzięcia czy jakiegoś zakazanego garnizonu w szkockim Mołdeczynie. Rząd londyński miał sposób na przeciwników jako rozdawca „panis bene merentium” i jako rzecznik „dobrego imienia Polski”. Opornym odbierał chleb i oskarżał ich o szarganie „święte-

drą rację stanu, obojętnie czy przeciwną prawdziwej polskiej racji stanu, czy nie, go „mienia majestatu Rzeczypospolitej”. Sposoby z dawna wypróbowane.

W świetle tych rozmów z masą emigracyjną wszystko jest teraz jasne. I ubieżwłasnowolnienie Sikorskiego i samobójcza linia polityczna, i brak jakiegokolwiek programu społecznego poza rydzowskim „silni, zwarci, gotowi”, i zmarnowanie wspaniałych możliwości propagandowych zagranicą, wykorzystanych tak znakomicie przez emigrację czeską i niemiecką, i zmarnowanie młodzieży, którą zamiast kształcić, zamieniano w przyboczne drużyny setek wyższych oficerów, których formacje pozostały po obu stronach zaleszczyckiej francuskiej szos. I wreszcie dzisiejsza działalność „elity emigracyjnej”. Dla nich Polska, to źródło zarobkowania, takie dobre jak wszelkie inne, które warto by odzyskać. A „walczyć” o nie mogą dalej, bo za plecami mają konta w bankach i bogatych wujów w Ameryce — co nie pozwoli im umrzeć z głodu nawet po ostatecznej klęsce.

## „NASZ PLAN OBRONY SZKOCJI”

Różne rzeczy widziała Wielka Brytania w czasie swego istnienia, ale polska emigracja polityczna i wojskowa (a raczej jej kierownictwo) nawet wyrozumiałych skądinąd Anelików napawała najszczerzym zdumieniem. Kiedy pozostałe emigracje kontynentalne z „antynaszstowską” emigracją niemiecką włącznie robiły wszystko, aby w ciągu pobytu na wyspach jak najgłębiej dotrzeć do społeczeństwa, w którym się znalazły, nasi politycy i wojskowi w poczuciu własnej niepowtarzalnej wagi i dumy narodowej usiłowali zachować swą jakże śmiesznie pojętą odrębność. I tu tylko fakt, że w moralizacji narodowej nikt pewnych warstw naszego społeczeństwa prześcignąć nie potrafił, mo że coś niecoś wyjaśnić. Emigracja polska w Anglii, tworząc, co wprawiano jej od września „integralne i pełne ciało Rzeczypospolitej” (!?), zamknęła się z własnej woli w ghetcie swoich naiwniutkich, idiotycznych czy reakcyjnych myśli, poglądów i przesądów.

Czyż nie jest tego doskonałym dowodem fakt, że nie chciano się otę uczyć języka angielskiego i punktem honoru zarówno dowódców jak i działaczy politycznych emigracji było posługiwanie się tłumaczami w stosunkach z Brytyjczykami. Kiedy młodzi emigranci opowiadali mi dzisiaj jak wiele trudności musiała przewyżać, aby wprowadzić kursy języka angielskiego w wojsku, kiedy spotykałem masami ludzi, którzy w ciągu sześciolatniego pobytu na wyspach brytyjskich ostatecznie nie nauczyli się tego języka, jakżeż mogę dziwić się temu, że emigracja nie potrafiła nauczyć się od Anglików innych trudniejszych, tak cennych i wymaganych od każdego inteligentnego polityka rzeczy jak — realizmu politycznego i słynnego angielskiego „sense of compromise”.

Opowiadano mi o pewnym autentycznym wydarzeniu które doskonale maluje stosunek emigracji do świata, w jakim się przypadek em znalazła. Rzecz działa się — zdaje się — w roku 1941. Jedna z formacji polskich przejmowała od Brytyjczyków odcinek obrony wybrzeża Szkocji. W rozmowach sztabowych używano oczywiście tłumacza i kiedy wyższy oficer angielski nastawał na wykonanie pewnych ruchów oddziałów polskich, dowódca polski powiedział tłumaczowi: „Powiedz mu pan, żeby mi nie zawracał głowy. Nasz plan obrony Szkocji przewiduje co innego!”

Te „nasze plany obrony Szkocji” istniały w każdej dziedzinie. W ich wyniku zarówno rozwój wypadków wojskowych jak i politycznych najzupełniej zaskakwał „emigrację londyńską”. Tak jak ostatecznie zaskoczyła ją Jałta i zwycięstwo Labour Party w powojennych wyborach. Wszystkie emigracje kontynentalne potrafiły nawiązać w czasie wojny kontakty z labourystami. Nie potrafili, bo nie chcieli tego uczynić jedynie emigranci polscy, których meżami zaufania byli konserwatywni posłowie z Szkocji, postacie równie muzealne i dickensowskie, jak nasza „elita emigracyjna”.

Równocześnie ta sama elita powiewała przed opinią mas emigracyjnych i kraju swymi doskonałymi stosunkami z rządem brytyjskim biorąc w naiwności ducha za dobrą monetę sugestie czy wyniki rozmów z drugorzędnyimi figurami konserwatywnego aparatu państwowego, który coraz mniej miał wobec zmian wojennych do gadania i zachował zawsze poczucie rzeczywistości i łatwość przystosowania się do nowych warunków. Wszystkie propagandowe i polityczne wyczyny „rządu

emigracyjnego” pokrywane były na zewnątrz tą właśnie „aprobatą” brytyjską. Wszelkie próby rozsądnej krytyki były duszone sugestiami — „nic nie dzieje się bez głęboko ukrytych przyczyn”. Tej krytyki było zresztą niewiele, było jej stanowczo za mało, jak na zewnętrznie inteligentny charakter emigracji. Natomiast orkany krytyki wybuchaly lekroć w łonie „rządu emigracyjnego” przejaśniało się komuś w głowie — na krótko zresztą. Wycie Caba - Mackiewiczca, wrzaski rejtanowskie poży „Wiadomości Polskich” i wydawanej przez Bieleckiego „Myśli Polskiej” przy równoczesnych intrygach nieśmiertelnej „dwójki” torpedowały wszelką próbę porzucenia „własnych planów obrony Szkocji”.

Już w roku 1942 można było wyczytać w obcojęzycznej prasie wychodzącej w Wielkiej Brytanii, że uświadamia sobie ona przemiany społeczne i polityczne w podziemnej Europie. Kiedy przeglądam ówczesne emigracyjne pisma francuskie, belgijskie, czy norweskie i polską prasę emigracyjną różnicę są tu zupełnie wyraźne. Ale nasza „elita londyńska” miała „swoją plan obrony Szkocji” także odnośnie sytuacji w kraju. Nie ulega wątpliwości, że w planie tym nie uwzględniono ani młodszego pokolenia emigracyjnego poza adiutantami dostojników ani sił społeczno-politycznych, wyrastających w ogniu walki podziemnej w kraju. „Nasz plan obrony Szkocji” obsadzał z góry wszelkie możliwe stanowiska w kraju po zakończeniu wojny „elitą emigracyjną”. Londyn miał wkroczyć nad Wartę i Wisłę z pełnym garniturem nie tylko ministrów i podsekretarzy stanu ale wojewodów i starostów. „Kraj” nigdy nie liczył się poważnie i nawet jeśli sztaby A.K. żyły złudzeniami, to nigdy nie zostałyby one spełnione.

To już nie polityka konserwatywna, ani żadna w ogóle polityka.

Kiedy przyglądam się owocom działalności „Londynu” w krajach anglosaskich to robi ona wrażenie działalności związku lunatyków, w którym rolę księżycy odgrywał nieodmiennie nieogolony i odbarty robotnik czy fernal rosyjski z czasów rewolucji październikowej. Propaganda antysowiecka zaczadzała umysły. Wszystko inne, nawet zagadnienia polsko-niemieckie nie były tu ważne i poza niewielu sprawiedliwymi (np. działalność publicystyczna autora szeregu angielskich broszur na te tematy — Józefa Winiewicza) nikt się tym na serio nie zajmował. Najwyższym osiągnięciem było dotarcie na łamy katolickiego „Tablet” czy wydanego przez starzejące się konserwatywne ladies „Time and Tide”. Dziennikarz czy pisarz wydrukowany w takim piśmie chadzał miesiącami w obłokach emigracyjnej sławy. Atoli większość inteligentnych Brytyjczyków czytywała inne własnie tygodniki. Kiedy dużym nakładem pracy wydano wreszcie wielką publikację o terrorze niemieckim w Polsce, nie zapomniao jej rozpocząć przedrukiem encykliki papieskiej. Te kilka stron wstępu wystarczyło, aby nikt w angielskiej i antypapieżowskiej Anglii nie chciał wziąć tej ważnej skądinąd i cennej publikacji do ręki.

W hallu klubu „White Eagle” w Londynie, gdzie zbierają się „nieprzejednani”, stoi szafa z kompletem wydawnictw emigracyjnych. Jakżeż tragicznie wygląda porównanie jej zawartości z byle półką księgarską w Londynie z wydawnictwami emigrantów Czechów, Francuzów czy Niemców! Potrafiłszy dotrzeć do opinii brytyjskiej powiadają „emigranci”. Tak, ale opinia brytyjska nie wyrażała się przez cały czas wojny o Polaków inaczej jak „poor Poles” — biedni Polacy, przy czym w słowie poor więcej było współczucia dla głupoty Polaków, niż dla ich nieśczęść. A jeśli dowodem życia się z Brytyjczykami mają być mieszane małżeństwa polsko-angielskie, małżeństwa polskich żołnierzy z biednymi szkotkami, to warto zwrócić uwagę, że w czasie wojny w okręgach północnej Brytanii, gdzie stacjonowali Polacy, przypadają około siedmiu kobiet na jednego zdrowego mężczyzny.

## DUNKIERKA I MONTE CASSINO

Rozumni Czesi już w roku 1940 ulokowali właściwą część swojej emigracyjnej młodzieży w wyższych uczelniach i zakładach przemysłowych Wielkiej Brytanii. Miała ona zastąpić straty inteligencji czeskiej w protektoracie i stworzyć nowe kadry wysoko wykwalifikowanych pracowników technicznych.

Całe nasze młode pokolenie emigracyjne spędziło, jak duch naszych dziejów tego wymagał, sześć lat wojny w wojsku. Rwali się do tego, trudno zaprzeczyć. Ale równocześnie nie wolno nie zauważyć, że do roku 1944 wydosztanie się w Wielkiej Brytanii z wojska polskiego na studia było sprawą równie trudną, jak udana ucieczka z obozu w Oświęcimiu. I zdaje się, że licznie takich wypadków było nie wiele więcej. „Emigracja” zrzuca oczywiście wi-



nę na generała Sikorskiego którego rze-  
czywiście obchodziła armia, armia i tylko  
armia. Ale zwalnianie, czy urlopowanie  
z wojska na studia nie zależało od pod-  
pisu naczelnego dowódcy, zwłaszcza po  
jego śmierci, kiedy stosunki w wojsku nie  
uległy żadnej zasadniczej zmianie. Ale nikt  
z wojska wydstać się nie śmiał, mówiąc  
stylem naszych oficerów, ponieważ tylko  
na Haiti armia składała się może z samych  
wyższych oficerów. A wyższego korpusu  
oficerskiego polskiego w Wielkiej Bry-  
tanii wystarczyło niewiele na obsadzenie  
wszystkich stanowisk w całej armii bry-  
tyjskiej. Tak tedy i docenci uniwersytetów  
i doktoranci wszelkich dyscyplin, i młodzi  
inżynierowie i historycy sztuki, i magister  
wie filozofii i młodzi maturzyści — spe-  
dzali całą prawie wojnę w obozach wojsko-  
wych Szkocji, posusznie wprawiając się  
w arkaną zmiatania baraków, mar-  
szów ćwiczebnych i sztuki dowodzenia  
pralniąmi wojskowymi ku chwale ojczy-  
zny.

Kiedy mam teraz przed sobą wszelkiego  
rodzaju pomoce naukowe jakie stosowano  
w pracy oświatowej w tym inteligentnym  
wojsku, naprawdę, płakać się chce z rozpa-  
czy. Wolno przy tym przypuszczać, że  
osadzeni w niewoli niemieckiej żołnierze  
i oficerowie, pozostawieni sami sobie  
w pracy oświatowej, znacznie więcej wynie-  
śli z niej korzyści dla siebie i społeczeń-  
stwa, niż młodzież znajdująca się w wojsku  
w Wielkiej Brytanii. A równocześnie  
żalona propaganda polityczna zrobiła tak  
wielkie spustoszenia w umysłach ludz-  
kich, którzy nawet potrafiliby się wreszcie  
wyrwać na studia wyższe, że fakt, iż nie  
sposób z nimi dzisiaj rozmawiać na żad-  
ne, nie objęte programem prasy emigracyj-  
nej tematy, nie może ani zaskakiwać ani  
dziwić.

A jednak naprawdę rozmawiać z nimi nie  
sposób. Jest tej młodzieży akademickiej na  
studiach w Anglii około tysiąca. A więc  
swego rodzaju elita, której sposobu pow-  
stawania nie udało mi się jednak odkryć.  
Studiują w Londynie, Oxfordzie, Edynbur-  
gu, Glasgow, Aberdeen. Do kraju? Nie,  
do kraju nie pojadą w żadnym wypadku.  
Jakże można jechać do kraju, znajdującego  
się pod „okupacją”, do kraju, w któ-  
rym za każdym rogiem czeka potencjalnie  
śmierć z rąk „agentów”? Co będą robić?  
Świat jest wielki, Kanada, Rodezja, Au-  
stralia, Brazylia. Wszędzie potrzeba mło-  
dych inżynierów czy lekarzy. Znają języki  
obce dobrze (c' nielczni), mają czy mieć  
będą dyplomy brytyjskich uczelni. Urza-  
dzą się jakoś, Europa? Europa jest już skoń-  
czona, gruzi, ruiny, za wiele pracy, której  
nikt i tak ocenić nie potrafi. Martwią się  
czasami tylko losami pozostałych w Pol-  
sce członków rodziny. Zwłaszcza, jeśli ci  
mieli przed wojną jakiś folwarczek czy  
fabryczkę. Pewnie siedzą w więzieniu? No,  
ale trudno, zostali, los tak chciał. Ale żeby  
oni, młodzi, mieli kłaść głowę pod ewan-  
gele? Nie, to nie ma sensu. A kiedy ich  
się za to atakuje, zasklepiają się w sobie,  
wieszając agentów, szukających naiwnych  
ofiary.

I tak się wszystko układa. Czescy inży-  
nierowie z londyńskich politechnik — w  
Pradze, nasi — w oczekiwaniu na statki  
do brytyjskich dominów z pieśnią patrio-  
tyczną na ustach. Kandydaci na nowych  
Ralfów Modrzejskich i Domeyków.

#### NOCNE Z RODAKAMI ROZMOWY

Ale jest jeszcze szara emigracyjna ma-  
sa ludzi, nie należących do żadnej z  
elit. Ci przychodzą wieczorami na rozmowy.  
Najczęściej telefonują przedtem z za-  
pytaniem czy mogą liczyć na dyskrecję.  
I na wstępie zastrzegają się równie dys-  
kretnie, że nie chcieliby swoją wizytą  
nikomu w niczym zaszkodzić. Zupelnie tak  
samo, jak owi „londyńscy korespondenci”  
na procesie w Norymberdze. Po czym  
zaczynają się użalać. Po pierwsze — na  
Anglię. Nie znoszą jej, mimo wygód w  
mieszkania, w metro i pociągach, nie  
mogą tu dłużej wytrzymać. Oni, młodo „de-  
mokracji doskonałej” — ludzie z zewnątrz,  
ludzie drugiej klasy. Poza tym Anglia ich  
oszukała i zdradziła. Przypominają gwa-  
rancje, przyrzeczenia, słowa Churchilla i  
wszystkich angielskich świętych. Żołnierze  
czy cywile, walczyli czy nie, ale zaw-  
sze nadstawiali karku także i za Wielką  
Brytanię, która im proponuje teraz ewen-  
tualnie pracę w walijskich kopalniach  
węgli. I to nie na pewno, jeśli wziąć pod  
uwagę ostatnie oświadczenia ministra Be-  
vina. Po drugie — na Związek Radziecki,  
temu nie mogą darować niczego, ani linii  
Curzona, ani węgli, wywożonego „za dar-  
mo”, ani tych wszystkich „najprawdziws-  
zych” historii, którymi nafaszerowany  
jest codziennie londyński „Dziennik Żoł-  
nia”. Po trzecie — na Raczkiwicza et  
consortes, za to samo, co i my mamy do  
nich dożgonną pretensję, a poza tym za  
różne prywatne większe czy mniejsze  
przykrości. Po czwarte — na kraj, że nie  
przemawia do nich tak ciepło, jakby tego  
wymagali. Po piąte — na tych członków

rodzin, którzy wzywają ich do powrotu  
i na tych członków rodzin, którzy radzą  
jeszcze trochę poczekać, aż się „sytuacja  
wyjaśni”. Po szóste — na mnie, że nie  
wiem, co porabiają wszyscy ich kuzyni po  
mieczu i kądzieli. Są szczerze nieszczęśli-  
wi, a poza tym rozumują naprawdę jak  
dzieci, mimo że spędzili szereg lat w kra-  
jach, które mogły sprzyjać rozwojowi  
umysłowemu. Po liście z Krakowa decy-  
dują się na powrót, po karcie pocztowej  
z Łodzi skłonni by jeszcze raz się zastano-  
wić. Nie wierzą ani mnie, ani sobie, ani  
Nowakowskiemu, ani Kottowi. A wreszcie  
kiedy decydują się na powrót do kraju,  
to chodzą z miną spadochroniarza, który  
wcale nie jest całkiem pewien, czy po sko-  
ku spadochron się otworzy.

Ludzie chorzy psychicznie, żarci nostalgia  
za krajem, a równocześnie stoczeni  
przez „londyńską propagandę” jak stare  
meble przez korniki. Ludzie, których na  
dobrą sprawę należałoby przed zaprzę-  
nięciem ich do jakiejś rozsądnej pracy  
oddać na kilkanaście tygodni na wypoczy-  
nek do sanatorium w podgórskiej miej-  
scowości. I najtrudniej zrozumieć im jed-  
no: że naprawdę w kraju są poważniejsze  
zmartwienia i kłopoty od losu ich urzę-  
dników dwunastej kategorii czy plutono-  
wych-podchorążych, i że naprawdę nie są,  
bo nigdy nie byli pepkiem świata i ośrod-  
kiem zainteresowania całego kraju i wszyst-  
kich władz. Siedzą do północy, czasami  
dłużej, zabierają chętnie do przeczytania  
gazety z kraju, są na wychodnym trochę  
spokojniejsi. Ale skoro rano przeczytają w  
„Dzienniku Żołnierza”, jak to żołnierze ra-  
dziecy przy pomocy milicji i służby bez-  
pieczeństwa rozbruli bramę florjańską w  
Krakowie, znów zaczyna się to samo. I na  
tym polega prawdziwa nędza zachodniej  
emigracji, nie „elity emigracyjnej”, bo  
ta śpiała spokojnie, ale wszyscy ludzie, któ-  
rym ziemia uciekła spod nóg w dniu prze-  
kroczenia granic polskich i którzy nigdy  
tej ziemi pod nogami nie odzyskali. Histo-  
ria naprawdę ponura.

#### „WYSOKO NIEŚĆ BEDIEMY SZTANDARI”

W jednej tylko dziedzinie obok marny-  
wania materiału ludzkiego po wszystkich  
frontach wykazała „elita emigracyjna”  
maksimum wydajności. W wygłaszaniu  
żwawych, patriotycznych przemówień i oś-  
wiadczeń, w których co drugie słowo pi-  
sane jest wiałtami literami. Nasłuchaliśmy  
się ich dość w dniach, kiedy pod walącymi  
się domami Warszawy ginęli najbliżsi przy-  
dźwiękami nadawanej z Londynu melodii  
„Z dymem pożarów”. Trwają one i sądząc  
z odgłosów „londyńskiej” wiosny 1946  
trwać będą dalej.

Panowie Władysław Raczkiwicz i To-  
masz Arciszewski — odtosili w dniu nowo-  
rocznym postanio do Polonii emigracyjnej.  
To nic, że psa z kulawą nogą nie obchodzi  
w kraju postania noworoczne obu bankru-  
tów! Ale cytane one były i są przez setki  
tysięcy emigrantów wojennych i przez mi-  
liony dawnych emigrantów w obu Amery-  
kach. Dowiadujemy się z tego postania  
miedzy innymi, że — „narzuca się Pola-  
kom siła formy organizacyjne i społeczne,  
które winny być wyrazem ideałów,  
wynikających z ducha, bytu i przeszłości  
narodowej; że szerzy się wśród Polaków  
pod okupacją w kraju idea rasizmu, anty-  
semityzmu, szowinizmu, a zarazem wzbu-  
dza niewiarę we własne siły; że propaguje  
się hasła nietolerancji religijnej i prze-  
śladuje duchowieństwo wszelkich wyznań  
i wreszcie, że Polska, pozostająca pod no-  
wą okupacją jest wyniszczana biologicznie,  
materialnie i duchowo.”

Za wodzami powtarzają to samo nie tyl-  
ko organy „elity londyńskiej”, ale dzie-  
lątki pism wśród Polaków koczujących po  
krajach zachodniej Europy i Bliskiego  
Wschodu i setki pism wychodzących amery-  
kańskiego. I najbardziej ponure i ohydne  
jest to, że w prywatnych rozmowach, skro-  
ro przyjeżdżając się do muru „londyńskich  
Goebbelsów”, przyznają się do tego, że  
kłamia całkiem świadomie. „To jest po-  
trzebne, musimy zachować bojowe nastawie-  
nie u naszych ludzi. Cel uświęca śro-  
dki.”

Szukam tych celów. Po rocznikach cza-  
sopism emigracyjnych, po zbiorach prze-  
mówień programowych, po broszurach  
politycznych, po wydawnictwach oświato-  
wo-wychowawczych. Wszędzie to samo.  
Bóg i Historia, Wielkie Tradycje History-  
czne, Naród Polski, Wolność i Niepodleg-  
łość, Święte Ciało Rzeczypospolitej, Wy-  
soko Nieść Bedziemy Sztandar”. Patrio-  
tyczne parawany, takie same jak owe wiel-  
kie nazwiska, którymi zastawiano emigra-  
cyjną nędzę moralną. Słowa, jeśli dekla-  
mowane z patosem, to zdolne wycisnąć  
iż i także i pieniądze na Światowy Zwią-  
zek Polaków Zagranicą czy jakiś nowy  
Fundusz Obrony Narodowej, spożyty po-  
tem przez kwestorów, słowa, które potrafi-  
ły pchać młodych ludzi na śmierć w ru-  
inach Monte Cassino, słowa, którymi moż-  
na zarobkować przez długi nawet okres  
czasu. Słowa bez pokrycia.

Z tej platformy rozpoczyna „elita emi-  
gracyjna” swą nową ofensywę. Świadczy  
o niej wznowienie kilku dawnych pism  
emigracyjnych w Londynie („Wiadomości  
Polskich” przez Nowakowskiego, Terlec-  
kiego, Zahorską et consortes, „Myśli Pol-  
skiej” przez Bieleckiego, Doboszyńskiego  
i „towarzyszy”). Świadczy o niej także wy-  
głoszony przed niewiele dniami odczyt fi-  
latu „emigracji” — Adama Pragiera w lon-  
dyńskim Livingstone Hall pt. „Dzisiaj i jutro  
emigracji”.

„Mamy wystarczające rezerwy ludzkie  
na przetrzymanie — powiedział szacowny  
mówca — i nie wolno nam tych rezerw  
marnować. Każdy człowiek, decydujący  
się na wyprawę turystyczną (mowa o po-  
wrocie do kraju) jest dla nas stracony.  
Musimy ich wszystkich zatrzymać. W ciągu  
ostatnich miesięcy wyłaniały się w lo-  
nie naszej emigracji projekty pozostawie-  
nia na obczyźnie tylko niewielkiego ośro-  
dka myśli politycznej i dopuszczenia do  
odejścia mas do kraju. Była to najszkodli-  
wsza koncepcja, jaka się kiedykolwiek po-  
jawiała na emigracji. Na szczęście prze-  
zwyciężyliśmy ją ostatecznie. Nie ma żad-  
nych powodów do defetyzmu, nie ma żad-  
nych powodów, abyśmy mieli zrezygnować  
z walki i abyśmy mieli porzucić niesiony  
sztandar!”

Na co liczy „emigracja”? Na wojnę?  
Nie, w spokojnym Londynie, w którym  
właśnie rozbiera się ostatnie schrony prze-  
ciwlotnicze i odsłania pomniki z cemento-  
wych skorup, w którym regaty wiosłarskie  
Oxford - Cambridge wzbudzają znacznie  
większe zainteresowanie niż obrady UNO  
nad sprawą perską, nikt, mający odrobinę  
oleju w głowie, na wojnę liczyć nie może.  
Nie dyskutował i sprawy bliskiego kon-  
fliktu zbrojnego nawet pan Pragier, a pier-  
wszy po wznowieniu numeru „Wiadomo-  
ści” odkłada go co najmniej na kilkanaście  
lat. Nie, po prostu elita emigracyjna chce  
żyć, nie naruszając swych wojennych  
oszczędności. A żyć można nawet z bied-  
nych polskich wygnańców, a już tym bar-  
dziej z bogatych wychodźców amerykań-  
skich, którzy dadzą zawsze dolara na bied-  
nych Rejtanów i Wernyhory.

A żeby uspokoić swoje parsywe sumie-

JAN BRZECHWA

## O reformę prawa autorskiego

Rok mija od chwili zakończenia wojny,  
nowy porządek gruntuje się w rozmaitych  
dziedzinach naszego życia gospodarczego,  
władze nie szczędzą wysiłków w niwelowa-  
niu krzywd powstałych w okresie okupacji,  
ustawodawca utwierdza zdobycze demokracji.  
Tym dźwigniowym wydać się musi fakt, że  
na odcinku, który miał być szczególnie  
uprzywilejowany przez Państwo, na najwa-  
niejszym odcinku naszej kultury, jakim jest  
twórczość artystyczna, nie uczyniono pra-  
wie nic, a w każdym razie bardzo niewiele.  
Wprawdzie polska ustawa o prawie auto-  
rskim ośca twórców pieczętowała opieką,  
wprowadzając szeroką ochronę zarówno ich  
praw majątkowych, jak i osobistych, nie  
uwzględniła jednak tej szczególnej roli spo-  
łecznej, którą odgrywać powinien pisarz,  
malarz czy kompozytor w dzisiejszym ustro-  
ju. Ustawodawca w dobie powstawania cyto-  
wanej ustawy nie mógł przewidzieć nowych  
sytuacji prawnych, wywołanych wojną, obec-  
nie natomiast nie uczynił nic, aby sytuację  
tę w sposób zadawalający uregulować.

Sugestie związków twórczych w tej dzie-  
dzinie nie znalazły dotąd wyrazu w ustawo-  
dawstwie, o zamierzeniach nowelizacyjnych  
rządu nie słyhać, a już w żadnym wy-  
padku nie można uznać za dostateczne roz-  
wiązanie problemu zapowiedzianej licencji  
przymusowej w odniesieniu do dwunastu pi-  
sarzy, przeważnie klasycznych, których dzieła  
ze względu na potrzeby oświaty mają zostać  
na pewien czas niejako upaństwowione.

Może największą bolączką w poruszanej  
tutaj materii prawa autorskiego stanowią  
dwie sprawy. Pierwsza z nich to uwięzienie  
praw wydawniczych w nakładów w ogólności,  
druga — to umowy o przeniesienie tych  
praw zawarte w okresie okupacji.

Nie wdając się w rozważania na temat  
ewolucji pojęć prawa autorskiego w okresie  
ostatniego pięćdziesięciolecia, na tle kolej-  
nych zmian Konwencji Berneńskiej, może-  
my stwierdzić, iż jest ono prawem na do-  
brach niematerialnych, do prawa własności  
podobnym, ale różniącym się odeń bardzo  
istotnie. Natomiast dawny pogląd na prawo  
autorskie zrównywał je z prawem własności  
całkowicie, wskutek czego przyjęte było w  
obrobie nabywanie przez wydawców utwo-  
row artystycznych na własność i nawyk ten  
trwał długo jeszcze, nawet po zreformowa-  
niu systemu prawa autorskiego.

Wskutek tego rodzaju praktyk, wielu bar-  
dzo twórców znalazło się w zupełnej zale-  
żności od nakładców, którzy prawami ich do-  
wolnie mogą dysponować. Wynika z tego, że  
nakładcy ci mogą wydawać dane dzieła  
dług własnej woli, ale mogą ich także nie  
wydawać w ogóle, nie dopuszczając rów-  
nocześnie nikogo innego do zrealizowania

nia i natarczywa pytania emigracyjnych  
mas, układa się teorię „drugiego garnitu-  
ru” czy „gry na dwóch fortepianach”, opo-  
wiadana w zaufaniu na ucho. Mnie opo-  
wiadano ją trzykrotnie, „w zaufaniu”. Otóż  
bankruci emigracyjni doszli do wniosku,  
że wszystko się tak tragicznie skończyło,  
ponieważ „my, Polacy, nie potrafiliśmy  
grać na dwóch fortepianach”. Od dzisiaj  
będziemy to robić. Wy (to znaczy kraj)  
będziecie kolaborować z okupantem, a my  
tutaj będziemy robić wielką robotę patrio-  
tyczną - propagandową. Ze niby mimo  
„żelaznej kurtyny” i mimo wszystko, „Je-  
szcze Polska nie zginęła, póki my (emi-  
gracja londyńska) żyjemy.” „A kiedy na-  
dejdziesz czynu godźna, przyjdziemy was  
wyzwalać. Nie, wszystkich was nie powy-  
wieszamy, wyście przeciw musieli, ale  
trochę powieść będzie trzeba”. Niestety,  
list proskrypcyjnych pokazać nie chcieli.

A co jest we wnętrzu tych londyńskich  
sędziów narodu, to wyczytać można w wy-  
znaniu, które się wyrwało spod pióra emi-  
gracyjnego Sawonaroli, Wernyhory i Rej-  
tana w jednej osobie, Zygmunta Nowa-  
kowskiego: „...będąc poza Polską nie jes-  
teśmy nigdzie. Zawiliśmy w próżni, z  
której wypompowano powietrze. Jesteśmy  
w kłamstwie, w zaprzeczeniu życia. Dzień  
każdy poza Polską nie jest dniem prawdli-  
wym, jest tylko czymś zastępczym. Mamy  
uczucie niczym nie zaspokojonej czczo-  
ści”. („Wiadomości” — 7.IV.1946).

Lasek drewnianych krzyży na wapien-  
nych stokach Monte Cassino i polskie pro-  
stytutki na ulicach niemieckich miast  
zgiełk emigracyjnej prasy, zalanej lawi-  
nami kłamstw i młodzi polscy inżynierowie  
pakujący walizy w drodze do Rodezji. I  
wypalony na żużel „emigracyjny sklep”  
z wielkim napisem o narodowych barwach  
„wysoko nieść będziemy sztandar!” Koń-  
cowe cyfry bilansu „londyńskiej emigra-  
cji”. Deficyt obciążający ostatecznie nie  
ich, ale kraj.

„Poor Poles!” — powiedział mi znów  
wczoraj jakiś dziurziemiec. Nie miałem  
mu co odpowiedzieć. Miał rację.

Mieczysław Włoczek.



## Czytamy listy

## Na temat pamfletu „O młodszym bracie”

Tych listów zebrał się już stos cały... Poruszonego tematu nie zbytych wzruszeniem ramion. Widocznie od dawna już leżały ludziom te sprawy na sercu, skoro chwycili za pióro i uczniowie szkół średnich i studenci i nauczyciele, próbując ze swej strony i w swoim imieniu zagadnienie naszej młodzieży powojennej oświetlić, opisać, wytłumaczyć, sprecyzować. W wypowiedziach odczuwa się głęboką troskę i rzetelność patrzenia.

„Pokolenie wchodzące w orbitę zadań społecznych stoi na bardzo niskim poziomie” — stwierdzają tymi czy innymi słowami niemal wszyscy, bez względu na to, czy jest to obserwacja z boku, czy też samo-oskarżenie. „Młodzież jest intelektualnie nieruchawa, zwrócona całkowicie ku pokonywaniu pospolitych trudności bytowania, niedouczone — dlatego bezpieczniej czuje się przy zastarzałej opinii społecznej, tradycji, przy wszelkiego rodzaju umiarach”. Wypowiedzi — chociaż nie zawsze oparte na myśleniu dostatecznie logicznym i konsekwentnym — cenne są przez swój szczery niepokój o przyszłość i przez swe poważne poszukiwania sposobów ratunku.

Pisze Maria Leszczyńska: „Po sześciolatek okupacji niemieckiej stanęliśmy wobec zastraszającego spustoszenia moralnego, jakie zostało wywołane bezsprzecznie przez metody stosowane w latach międzywojennych, a następnie przez okupanta. Upodlenie duszy młodzieży, jakie stosował na każdym kroku niemiecki barbarzyńca, więcej — gdy dawał możliwość jakiejś takiej egzystencji właśnie jedynie tylko za cenę podłości — wychowało i zdeprawowało wielkie rzesze młodzieży...”

Wanda Wyrwicka, nauczycielka: „W państwowych szkołach średnich uczyłam biologię od lutego do końca października 45 r. Tu miałam możliwość bliżej przyjrzeć się i poznać szczególnie starszą młodzież z końcowych klas gimnazjum i liceum. Stwierdzić muszę, że zainteresowanie zagadnieniami zarówno ogólnymi jak i związanymi z nauką szkolną, było wśród uczniów bardzo duże. Na mnie zrobiło to wrażenie zdobywczego, rokującego jak najlepsze nadzieje stosunku do rzeczywistości. Inna rzecz, że zauważyłam tu silne „zmaterializowanie”. Np. sprawa wyboru zawodu: z liceum, obejmującego prawie 60 osób, ołbrzymia większość miała zamiar udać się na politechnikę, na medycynę, dentystrykę, ktoś na Akademię Handlową, a tylko jedna uczennica pragnęła poświęcić się pracy pedagogicznej w szkołach powszechnych, i jeszcze inna chciała studiować przyrodę na uniwersytecie. Więcej kandydatów na mało rabiających naukowców — nie spotkałam...”

Anna Nehrebecka: „Jeżeli chodzi o skład społeczny, o oblicze społeczne naszych szkół średnich i wyższych, to jest ono tylko odbiciem stosunków ekonomicznych: Jeszcze dziś prze wagę ma młodzież warstw posiadających, mieszczańskich. I odgórne zarządzania nie tu nie pomogą, póki nie da się młodzieży chłopkiej i robotniczej konkretnych możliwości materialnych do uczenia się nie tylko na poziomie szkół powszechnych. Sieć burs, domów akademickich, świetlic i czytelni — to jedyna droga, która doprowadzi do zwiększenia elementu chłopkiego i robotniczego w naszych szkołach i zmieni ich społeczne oblicze... Jest jeszcze jedna przyczyna, która hamuje dopływ młodzieży chłopkiej i częściowo robotniczej na wyższe uczelnie. To pewnego rodzaju psychoza, wywołana przez nieodpowiedzialne czynniki — psychoza „tympczasowości” — a mianowicie, czy warto się uczyć, czy warto przygotowywać się do pracy na terenach zachodnich, jak i tak wkrótce Polska skurczy się znów do dawnych granic, wróca znów przedwojenne stosunki i znów element chłopki i robotniczy zostanie zepchnięty w zakamarki życia państwowego i społecznego... a przed tym będzie jeszcze jedna wojna... Takie nastroje nie mogą zachęcać młodzieży do maksymalnych wysiłków w kierunku pogłębiania studiów... Tym bardziej, że wielu profesorów na uczelniach wyższych to ludzie sierani okupacją, zgorzkniali, ludzie, którzy nie mogą (lub po prostu nie chcą) wyjść z przedwojennych schematów myślenia. Niestety, wielu z nich stoi jeszcze jeśli nie w jawnej to podświadomej opozycji do nowego porządku społeczno-gospodarczego naszego kraju. I oni to mają w tę młodzież tchnąć zapal do pracy twórczej na odcinku naukowym, kulturalnym, pokazać tej młodzieży drogi łączące wysiłek uczonego w laboratorium z wysiłkiem robotnika przy warsztacie? Nauczyć tę młodzież dyskutować i rozstrząsać problemy społeczne, gospodarcze, kulturalne? Jakże więc możemy wymagać od młodzieży tego „poziomu”, od młodzieży, która niejednokrotnie parę lat spędziła na robotach w Niemczech. A jak wpłyną niemieckie obozy pracy na umysłowość to chyba nie trzeba udowadniać! Ob. Żółkiewski stwierdził, że

młodzież posiada ogromne braki w odczytaniu w kulturze umysłowej. Ale co się do tej pory zrobiło, żeby umożliwić młodzieży usunięcie tych braków? Gdzie jest sieć czytelni, bibliotek, świetlic — dostępnych dla uczącej się młodzieży? Wiem, robi się dużo, ale i od młodzieży nie wymagamy cudów! Trzeba jej dostarczyć książek, skryptów, rzetelnych naukowych opracowań problemów aktualnych — społecznych, gospodarczych, kulturalnych. Może „Czytelnik” zamiast drukowania pseudo - naukowych broszur propagandowych, które tylko zalegają półki w księgarniach, rozpocznie wreszcie druk naprawdę wartościowych opracowań z tych dziedzin naszego życia współczesnego...”

I jeszcze jedno zdanie wyjmujemy z tego listu, zdanie, które jednocześnie bardzo trafnie wyjaśnia ton wypowiedzi następcy: „Pamiętajmy, że konspiracja hartuje tylko jednostki — na ogół, zwłaszcza na ogół młodzieży, metody konspiracji wpływają demoralizująco, przyzwyczajają do karnego słuchania a nie do samodzielnego wysiłku myślowego, powodują skłonność do łatwizny i uogólnień ideowych, do zastępowania hasłami bojowymi głębokich przemysłów spraw społecznych...”

A te wypowiedzi następną nadsyła nam z Nowego Sącza 21-letni uczeń szkoły średniej, podpisany kryptonimem „Student”. Znowu przytaczamy najważniejsze fragmenty: „Mam prawo i co więcej obowiązek reagowania na postawione zarzuty, odnoszące się nie do jednostek, ale do szerokiego ogółu młodzieży. Daję wyraz opinii jaknajszerszych rzesz młodzieżowych, myślących niewątpliwie podobnymi kategoriami do moich własnych. Jest to głos jednego z wielu, którzy podczas okupacji niemieckiej przeszli twardą szkołę życia, zdali egzamin ze swej dojrzałości obywatelskiej i stali we wspólnym szeregu walczących. Jestem w stałej i żywej łączności z równoważną mi wiekiem młodzieżą, prawem środowiska i wspólnych upodobań. Znam jej nastroje, troski, bolączki, dążenia, zamiary, aspiracje... Głównym zadaniem i celem tej młodzieży, niezależnie od jej przynależności klasowej i poglądów politycznych w tych niezwykle ciężkich i tragicznych czasach wspólnej niedoli, było co innego, niż „teoretyczne pogłębianie swoich sądów” o tym i o tym w zakresie problematyki społecznej, lub wyszukanie nowych dróg i koncepcji kulturalnych. Atmosfera dla tego rodzaju — powiedzmy śmiało — „zabaw”, była stanowczo jeszcze za ciężka, a stawka przed którą stał cały naród zbyt wielka, aby można było bezkarnie marnować choć jeden atom energii narodowej dla celów ubocznych partyjnych, klasowych, mniej istotnych niż sama walka, więc szkolnych...”

Jak Pan słusznie zauważył, młodzież dzisiejsza jest jakby mało ruchliwa, mało niespokojna, intelektualnie nie poszukująca. Cechuje ją jakaś specyficzna ospałość i bierność. Nie ujawnia żadnych wyraźnych chęci do przeczenia swoim autorytetom, lub też do „wodenia się za lby” z własną przeszłością kulturalną. Istotnie nie chce ona zrywać żywych związków z bogatymi tradycjami własnej kultury narodowej. Wolf stać na twardym gruncie „empirycznie” sprawdzalnej przeszłości, niż oddawać się złudnym marom przyszłości.

Szczególnie ważną jest w obecnych czasach sprawa atmosfery, tego podstawowego warunku pewności i wzajemnego zaufania do siebie ludzi. Czy jednak jest dziś u nas naprawdę atmosfera sprzyjająca swobodnemu i śmiało ujawnianiu się myśli i przekonań ogółu, a zatem i młodzieży? Czy działa tylko wymieniona przez Pana cenzura biskupa różnych „Tygodników Powszechnych” i nie poza tym? Nie twierdzę, że nie ma dziś wolności prasy i słowa, ale nie twierdzę też, że ta wolność jest idealna. Po prostu dużo nam jeszcze brakuje pod tym względem. Dla każdego jest dziś widoczne, że całe nasze życie we wszystkich jego przejawach, opanował jakiś szablon, do którego ma się sprowadzać wszystko. Kto nie jest „za”, jest automatycznie „przeciw” i staje się t. zw. reakcjonistą — wstępnikiem ze wszystkimi nieodłącznymi konsekwencjami tej popularnej dziś nęsty nazwy.

W tych warunkach możemy dopiero poznać na czym właściwie polega owo milczenie młodzieży i rzekomy jej brak wyraźnego programu na przyszłość. Milczenie to ma swoją wymowę. Dlatego należałoby stworzyć jak najbardziej niesprzyjające warunki jego dalszemu trwaniu, w interesie nie tylko samej młodzieży, ale i dobra całego narodu. Bo przecież w niedługim czasie odejdą „stary” a miejsce ich zajmie — nolens volens — tak „bezpłciowa” i przeniknięta głębokim urazem młodzież. Zacznie samodzielnie uczestniczyć w budowie przyszłości. A czegoż się spodziewać od tych „totalnych ignorantów”? Chyba tego, że pod wpływem w sobie nagromadzonych z dawna uprzedzeń i oporów zaczną podważać, albo umniejszać plony dokonywujących się obecnie reform i nadadzą im swoje

własne, oryginalne plejno. Osobiście jestem przekonany, i to głęboko, że przyszłość tych reform społeczno-kulturalnych nie znajduje się w niebezpieczeństwie. Chodzi tylko o to, aby zmienić do nich nastawienie wielu rozumiejących wprawdzie ich doniosłość ludzi, ale „Przez złość” nie chcących tego jawnie publicznie przyznać. Wszystko zależy dziś od tych, którzy mają powołanie sprawy w swoich rękach. Muszą oni radykalnie, od zaraz, zmienić swój stosunek i metody postępowania wobec ogółu młodzieży, a wtedy ogół napewno ustosunkuje się zgoda i raczej do nich samych i ich czynów...”

Jest dziś wiele rzeczy godnych naprawdę pożałowania, współczucia i lez rzeszistych. Do nich należy przede wszystkim owa „szczypta soli”, która sprawiła przykrą niespodziankę rozplywając się w „bezcze wody”. Pocięszam się jednak tym, że w przeciwieństwie do „soli” — „woda” trzyma się doskonale, płynnie swym normalnym korytem, jest czysta, t. zn. biała - czerwona i w niedługim czasie obiecuje wypłynąć na powierzchnię. Z obranego kierunku nie jej nie zdoła sprowadzić na mównicę, bo ma zdrowy nurt. Tak samo niemożliwym byłoby próbować odwrócić jej bieg do góry — bo to praca daremna i bezcelowa. Praca to ponad siły i możliwości dzisiejszych nowatorów...”

A teraz cytujemy z listu Mariusza Margala, studenta Uniwersytetu Łódzkiego. „Przekonania opozycyjne? To po prostu zwykłe niezadowolenie z teraźniejszości. Bez jasno skonstruowanych myśli ideowych, bez logicznie uzasadnionych myśli politycznych, bez jakiegokolwiek myśli o przyszłości... Omylił się Żółkiewski, gdy mówił o młodzieży grzesznej. Grzeszna, gdy chodzi o naukę, traci zupełnie tę „grzeszność”, gdy w grę wchodzi polityka. Prowadzi to w konsekwencji, w połączeniu z katastrofalnym upadkiem moralności, do antypaństwowych wybuchów — do demonstracji, poprzez organizowanie się w bandy, jak to miało miejsce w październiku ub. r. w poznańskim, do zbrojnych napadów nierzadko o podłożu kryminalnym (morderstwo milicjantów i zbrojny napad na sklep żydowski w Łodzi, wymordowanie rodziny żydowskiej w Gliwicach przez słuchaczy Politechniki). Te najsłabsze przykłady są bezwzględnie sporadyczne, ale mordercy i zbrojnicy na wyższych uczelniach byli zjawiskiem dotąd czysto faszystowskim. U nas jest to dziś spora dyczna — prawda, ale w tej bezmyślniej opozycji, której jak większość opozycjonistów, młodzież też nie potrafi uzasadnić, coraz częściej występuje katastrofalna, nabyta podczas wojny deprawacja młodzieży. Czy jest na to rada? Nie wiem. Myślałem już i o selekcji. Wątpię, czy to jest realne i możliwe do przeprowadzenia, ale przecież jeśli się chce, aby nasza inteligencja była twórcza i zdrowa, to bezwzględnie trzeba stosować najsłabsze środki. Na razie cała nadzieja w roku wstępnym i w gimnazjum. Może tu znaleźć się wyższy poziom moralny. Ale! Przecież ta właśnie młodzież napadła na Urząd Bezpieczeństwa w Grójcu, nisząc pomnik bohaterów radzieckich i polskich, przecież to z gimnazjalistów składała się banda „Jara” w Lubelskim i szajka złodziejska w Krakowie. Zdeprawowanie i zdziwienie młodzieży nie jest odpowiednio likwidowane i hamowane przez nauczycielstwo. I fakt, że wśród nauczycieli jest bardzo mało ludzi, którzy zdają sobie sprawę z wagi dokonywanych przemian społecznych w Polsce, fakt, że nauczyciele wykorzystują nieraz swych wychowanków dla wstecznej roboty politycznej, musi spowodować w następstwie skutki ujemne...”

Solk Andrzej, nauczyciel i student, Gliwice: „Obserwując dzisiejszą młodzież akademicką, nie można się oprzeć uczuciu, że nie jest to młodzież dorosła do zadań, jakie przed nią stawia dzisiejsza tak polska, jak i ogólnoludzka rzeczywistość. Fakt ten, mimo, iż stwierdzili go już niejednokrotnie nasi publicyści, nie doczekał się dotychczas głębszej analizy. Jeśli zaś chodzi o konkretne projekty w celu zmiany na lepsze — to słychać tylko głos lewicy nawołującej przede wszystkim do rozszerzenia bazy społecznej tej młodzieży. A szkoda. Jest to bowiem sprawa o tak dużym ciężarze gatunkowym, że powinna nie schodzić wprost z lam naszych pism. Sprawa ta wiąże się bardzo ściśle z problemem inteligencji polskiej, której trzonem w niedługim czasie stanie się ta właśnie młodzież akademicka...”

Z większości moich kolegów zaindugowanych na temat dzisiejszej poezji polskiej, wszyscy zgodzili się co do tego, że właściwie nie ma jej w ogóle, a Przybysia zakwalifikowali do szpitala wariatów. Pewien student prawa, bardzo inteligentny, o artystycznych zainteresowaniach, uważa że Hitler jedyny co dobrego zrobił, to że uwolnił nas od Żydów. Ze zdaniem tym spotykałem się i spotykam bardzo często... Na pytania na temat reform społeczno - gospodarczych i zagadnień ustrojowych - większość odpowiada czasem nie bardzo wiedząc o co chodzi, że

tak, że to właściwie jest potrzebne, że owzem, ale po co tak nagłe i że wszystko byłoby dobrze, tylko żeby nami komuniści nie rządili i Rosjanie sobie poszli. Nie wspomina już specjalnie o antagonizmach partyjnych, gdzie przynależność do tej czy innej partii, innego obozu uważana jest wprost za zdradę narodu, gdyż ta młodzież raczej w tyle jest za starszymi.

Znamiennym jest przy tym wszystkim, że w rozmowach, obcowaniu codziennym ze studentami uderza żywiołowy wprost pęd do wiedzy. Przeciętny obywatel absorbuje się nią bez reszty, chłonie wszystko co mu daje. Kwestia wysłuchania wykładów, zdania egzaminów urasta do problemu i zagadnienia pierwszej wagi i absorbuje myśl tego człowieka.

Tych kilka z życia wziętych przykładów wystarczy do wzbudzenia poważnych refleksji, bowiem nie są to przykłady oderwane, sporadyczne, lecz spotykane często, a zatem będące wykładnikiem nastrojów, skąd zainteresowań dużej grupy naszej młodzieży.

Znosi się poważnie na to, iż mimo żywiołowego pędu do wiedzy, a może w części i dlatego będziemy mieli znów wśród inteligencji większość ludzi pierwszorzędnie wyrzeczonych a mało, bardzo mało — naprawdę wykształconych. Brak szerszego spojrzenia na świat i życie, brak najmniejszej ochoty do analizy pewnych faktów, do rozumnego, niefanatycznego podejścia do nich, tenistwo myślowe w innych dziedzinach, niż własna specjalność, źle pojęta bezkompromisowość — oto główne wady jakie wydaje mi się można zarzucić młodzieży dzisiejszej...

Ale w żadnym wypadku nie jest to wina młodzieży. Na stan ten składają się nierzównodniejsze czynniki na przestrzeni bodajże setek lat, ale czynniki, który bodajże niewiele, bo bezpośrednio, zaczęli ujawnić na naszej młodzieży były lata ostatnie, lata wojny i okupacji. Charakterystycznym dla tego okresu jest, iż o ile okupant mimo stosowania najdrastyczniejszych środków ani na jotę nie zdołał złać poczucia narodowego, wiary w zwycięstwo, o tyle udało mu się w dużej mierze obniżyć umysłowy, kulturalny, a nawet moralny poziom naszej młodzieży...

I jeszcze jedno pozostawiła nam w spadku okupacja. Pewna część młodzieży, uczęszczająca do otwartych szkół technicznych, czy też będąc zatrudnioną w przemyśle, zdobyła niższe lub średnie wykształcenie fachowe w różnych dziedzinach techniki. Lwia część tej młodzieży, po naprędce zdanych maturach, uczęszcza obecnie na wyższe uczelnie, wykazując świetne przygotowanie zawodowe — przy kompletnym, dochodzącym w poszczególnych wypadkach do kalektwa myślowego, braku wykształcenia ogólnego, zabierając sowa humanistycznych, kulturalnych, społeczno - politycznych...”

Wojciech Szmidt z Warszawy: „Mówiliście o młodzieży — w Pamflocie” (Kurjerna Nr. 9) ogólnikowo. Ja wprowadziłbym pewien podział, biorąc pod uwagę młodzież w wieku 17-25 lat (mniej więcej).

Inaczej kształtują się myśli u studiujących, uczących się, inaczej u pracujących zarobkowo. Ci ostatni to w większości wypadków przedwcześnie dojrzały do życia ludzie, którym wojna odebrała możliwość nauki. I z ich dojrzałością do życia też różne sprawy się mają. Większości bowiem wydaje się, że mając lat 21 zna się wszystko, wie się o wszystkim najlepiej, i wydaje się najtrafniejsze sądy. Myślą, że przeżyła wojny, upoważniają ich do dorosłości per excellence, wychodzą bowiem z założenia, iż samo doświadczenie, sama walka o byt, nauczyła ich tylu rzeczy, że szkoła nie już więcej dać nie może. Mylą się — szkoła dać im może przede wszystkim rzetelną wiedzę. Ale oni odrzucają ją; miernikiem wartości jest tu zdolność zarobkowania, siła stawiania oporu przeciwnościom życiowym. Nauka o ile nie ma bezpośredniego, praktycznego zastosowania, o ile nie można jej od razu „urealnnić”, „upłynnić” na wartości materialne — nie przedstawia dla tego gatunku żadnego obiektu godnego posiadania. Wiedza jako przywiązka, jako pogłębielka poglądów, dla nich nie istnieje. To jedna kategoria. A wśród nich druga grupę stanowią ci, którzy nie mieli zamiaru nigdy kształcić się dalej, bądź to z powodu braku środków materialnych, czy też z braku chęci lub opornego nastawienia rodziców. Młodzi ludzie, którzy usamodzielnili się w czasie wojny, zakładając częstokroć własne ogniska domowe mierz w przeraźliwie wczesnym wieku, są dla nauki straconi. Wielu z nich wojna wypaczyła i zdegenerowała. Łatwe zarobki z czasów okupacji, chaos i zamieszanie pierwszych miesięcy niepodległości stworzyły podatny grunt dla tej kategorii młodzieży — pokolenia cichych lub głośniejszych spekulantów, bez podstaw moralnych, bez etyki, bez wykniętej drogi życiowej, idących od przypadku do przypadku, znajdujących wszystkie wartości w doraźnej przyjemności chwili, jednym słowem ludzi bez charakterów i co gorsza bez światopoglądów.

Druga grupa młodzieży nieuczącej się pokazuje nam młodych rzemieślników, robotników, ludzi zabarowanych, w pracy twardych, a jednak i u nich stwierdzam brak zainteresowania społeczeństwem, polityką, zagadnieniami gospodarczymi,

\*) Por. Nr. Nr. „Kurjerna” 9, 12, 15, 17.



Brak im określonej idei. Pracują cały dzień. Wieczorem zmęczeni pragną przede wszystkim odpoczynku, nie mają czasu na filozofowanie, nie wnikają w podłoża zjawisk dziejących się naokoło. Ich postawa jest zaskarżająco bierna.

A u młodzieży uczącej się? Niestety — objaw marazmu politycznego jest cechą nagminną. Co go powoduje? Dlaczego u młodzieży uniwersyteckiej nie występują zainteresowania przemianami społecznymi o historycznej doniosłości? Dlaczego nie widać zdecydowanej takiej czy innej postawy?

Wygląda to co najmniej tak, jakby dzisiejsze pokolenie miało wychodować znów typ mieszczański spokojnie i użytecznie pracującego na utrzymanie, w niedzielę idącego przykładnie do kościoła wraz z rodziną, a po południu czytającego „Tygodnik Powszechny”, mieszczański jedzący, przeziwający, chodzący, tylko broń Boże nie interesujący się nowymi prądami, potężnymi ideami społecznymi itd. Bo już sam fakt zainteresowania się bieżącym nurtem życia, stwarza pewną konieczność zajęcia jakiegoś stanowiska, opowiedzenia się za tą czy tamą stroną, a nie tylko chodzenia po najmniejszej linii oporu — po złotym środku — oscylującym ustawicznie między prawicą i lewicą. Nie widzę nigdzie u młodzieży namietności dociekania humanistycznego. Nie interesuje ich nic poza kręgiem własnych zamiłowań. Fachowość jest bezspornie zjawiskiem dodatnim, a w Polsce nawet wysoce pożądanym, lecz niech jej towarzyszą jakieś szersze horyzonty, nie wypływające z wiedzy nabytej w szkole, lecz pochodzące z wrodzonego zamiłowania do obserwacji życia, do zgłębiania jego tajemnic. Stan taki doprowadzi u wielu do tego, że przejdą przez życie nie wiedząc nawet do jakiego społeczeństwa należeli. „To samoluby”!!! Czy typy te stworzyła wojna? Bezspornie tak.

Wszystkich młodych ludzi, z którymi miałem możność zetknąć się w czasie okupacji, charakteryzowało ciekawe nastawienie, dowodzące jak mało myśl ich wbiegała w przyszłość, jak cała atmosfera w której obracali się nacechowana była realizmem dnia bieżącego. Jeśli przyświecały im prace idealne, to na pierwszym miejscu stawiali ojczyznę. Lecz żaden z nich nie zastanowił się nad pytaniem: Jaka ona będzie? Co należałoby w niej zmienić, co dodać, co ująć? Dążenie do niepodległości było dla wszystkich aksjomatem, forma przyszłej struktury ekonomicznej czy politycznej nie obchodziła z młodych nikogo. Jeżeli znaleźli się wnikliwi, co próbowali analizować, dociekać, to zawsze wyczuwało się w nich specyficzny brak głębi.

Jeżeli nawet w pewnych kołach dochodzi do starć politycznych, to mają one nieprzyjemny charakter. Nie widać w nich pracy umysłów. W obozie licznej opozycji nikt nie wysuwa żadnego konkretnego planu. Opozycyjność zresztą młodzieży ma dwojaki charakter.

Niektórzy tzw. „wieczni opozycjoniści” nie szukają nawet racji rozumowych — idee dla takich są bezwartościowe. Poproszę wyładowuje się w nich młodość kipiąca, nieujęta w ramy, rozhasana, puszczona swobodnie, samopas. Druga część opozycji ogranicza się do krytyki, sarkazmu i mniej lub więcej głośniego wyrażania niezadowolenia z istniejącego statusu z rządu, z reformy rolnej, z nacjonalizacji przemysłu, z wyborów. Przyjmuje każdorazowo zdarzenie w kraju za jeszcze jeden powód do narzekania i utyskiwania. Klub malkontentów.

Poruszam w tym liście tylko zagadnienia młodzieży miejskiej, pewne jednak uwagi, zwłaszcza co do bierności politycznej, znajdują zupełnie analogiczne zastosowanie i na wsi”.

I jeszcze jeden list z podpisem nieczytelnym: „Mam lat 20. Moja przeszłość jest dość prozaiczna. W chwili wybuchu wojny złożyłem wstępny egzamin do gimnazjum. O uczęszczaniu oczywiście nie było już mowy. Przez rok siedziałem w domu, zamknięty przez matkę w obawie przed wywozem do Niemiec. Później zacząłem pracować. Pracę miałem lekką i łatwą, toteż mając dużo wolnego czasu powróciłem do mojego ulubionego zajęcia sprzed wojny — czytania książek. Czytałem oczywiście bez żadnego wyboru, każdą książkę, która wpadła mi do ręki. Książki sensacyjne i kryminalne stanowiły niemały procent. Powoli jednak wyrabiałem sobie smak. Coraz chętniej czytałem książki historyczne. Najpierw Gasiorowski, Kossak - Szczucka, Chłędowski, później Korzon i Nauke. Z kolei zaczął je wypierać Prus, Remont, Żeromski, Wyspiański. W 43-cim roku zabrałem się do Tolstoja i przejąłem się jego światopoglądem. Potem znów wróciłem do historii. Przyszła jednak zmiana pracy: Dwaście godzin przy kotłach z ołowiem, co nie przyczyniało się do zainteresowania literaturą. Tak już pozostało. Aż wreszcie koniec wojny, wyteśniona szkoła i... rozczarowanie. Szedłem z radością. Nareszcie wyłaśni się te ciekawych spraw, znajdzie drogę, która będzie mógł podążać dalej. Zamiast wyjaśnień, za miast wskazówek i dyskusji, rozpoczęło się

beznadziejne i bezsensowne palkowanie... Jesteśmy już w wieku, w którym potrafi się myśleć i krytykować. Widzimy dobrze, co korzystamy z takiej szkoły. Skutki są takie, że większość chodzi do szkoły z wielką niechęcią i uczy się tylko tyle, aby nie dostać niedostatecznego stopnia i przejść do następnej klasy. Do tego jeszcze władze szkolne robią nam coraz większe trudności. Nie dość, że straciliśmy sześć lat, to jeszcze starają się

nam tę stratę przedłużyć, znosząc półroczne kursy i zaprowadzając normalne roczne klasy. Kiedy osiągniemy maturę, kiedy dalsze studia? A jeśli w międzyczasie będziemy musieli iść do wojska, to koniec. O studiach nie będzie co marzyć.

Proszę mi wierzyć. Z młodzieżą nie jest tak źle. Owszem, duży procent jest ludzi mało wartościowych. Ale jest też dużo innych. Takich, którzy chcą się uczyć, tworzyć, budo-

wać. Dajcie im tylko możliwości i przewodników. To najważniejsze. Bez odpowiednich przewodników nie zrobią nic”.

Kończymy czytanie listów — drukujemy fragmenty, które wydają się nam najistotniejsze — odkładamy te listy do akt. Ale trudno byłoby usunąć je z myśli. Sprawa nie jest skończona i zamknięta. Przeciwnie: otwiera się coraz szerzej.

J. Z.

CZESŁAW MIŁOSZ

## ○ kilku filmach

New York, kwiecień

Przeciętny polski miłośnik filmu, pozbawiony przez wiele lat kontaktu z produkcją filmową szerokiego świata, skłonny jest przypuszczać, że tam, na tym szerokim świecie znanym dotychczas tylko z nielicznych korespondencji, dokonał się niesłychany postęp techniczny. Prawdopodobnie wszystkie filmy są kolorowe. Być może, że film dwuwymiarowy ustępuje już miejsca filmowi trójwymiarowemu, a w studium eksperymentów są już filmy wężowe. Jak zwykle — nieupikniony skutek izolacji — następuje, podobnie jak w ocenie innych dziedzin życia, zupełne zatracenie właściwych proporcji prowadzące albo do pogardy dla zagranicy, albo do bezkrytycznego jej wielbienia. Nie jest to atmosfera zdrowa. Ci, którzy w filmie polskim chcą coś zrobić, mogą pod wpływem tej atmosfery pomyśleć, że zaraz na wstępie muszą zrobić cudo. Inni, zważywszy że film polski jest dziedzicznie obciążony niechlujstwem, dojdą od razu do wniosku, że tak czy owak nie dościgną Amerykanów. Prawdą natomiast jest, że nie zaszyły w ciągu lat wojennych żadne techniczne przewroty. Procent filmów kolorowych jest mniej więcej ten sam co przed wojną i borykają się one z barwą, najczęściej bezskutecznie próbując ratować się od kiczu. Disney produkuje długometrażowe filmy. Widziałem dwa: „Fantazja” jest malarską ilustracją do muzyki, szkicownikiem szalonego artysty, który muzykę ilustruje przy pomocy przygód fantastycznych zwierząt, powstających, zmieniających się i rozpryskujących się w oczach widza. Są tu cenne wynalazki. Akcja — jeżeli można o niej mówić — odbywa się w abstrakcyjnej przestrzeni, pośród drzew rosnących w powietrzu, obłoków mających konsystencję skał, wód zawieszonych w próżni. Inny wynalazek: dotychczas znano fantasmagorie (usprawiedliwione np. tym, że bohater jest pijany, dostał twardym narzędziem po głowie, ma gorączkę itd.) — ale fantasmagorie antropomorficzne t. zn. przedmioty i zwierzęta szalały po ludzku. Disney wprowadził wizję żyrafa-morficzne, hipopotama-morficzne, strusia-morficzne — t. zn., że wszystkie możliwe przedmioty i zwierzęta przybierają postać żyraf, strusów i hipopotamów. Tysiąc hipopotamów tańczących kankana, uwieczonych w bańkach mydlanych, wylaniających się z luster — zaiste — świat ujrany przez hipopotama, na jego obraz i podobieństwo. Gorzej jednak jest z barwą. Większa część filmu dosięga szczytów okropności malarskiej — o tym stylu dać mogą pojęcie wyszywane poduszki w prowincjonalnych mieszkaniach. Drugi film: „Dumbo” — to przygody młodego słonia, który był pokraczny, miał za długie uszy, wszyscy go w cyrku krzywdzili, ale przy pomocy pewnej rodziwej kruków (bardzo wraskliwej i palącej długie cygara) nauczył się latać... na uszach, zrobił wielką karierę i zarobił masę pieniędzy (zważmy co za rozkosze socjologiczne dla europejskiego widza).

Ale to jest szczególny dział produkcji i nie on tworzy właściwy charakter nowojorskich kin. I wydaje mi się, że tak jak w literaturze, która przeszła przez okres doświadczeń formalnych w latach 1918—1939 — sedna postępu trzeba dzisiaj szukać w zgodzie na taką czy inną tematykę, albo w sposobie podejścia do postaci ludzkiej.

Powiem tutaj rzecz, która dla wielu może być dziwna: najlepsze filmy, jakie idą obecnie w Nowym Yorku nie są amerykańskie. Te najlepsze filmy wyprodukowała Europa, która w świadomości Amerykanów jest padolem nędzy i płaczu — na każdym rogu widzi przecie olbrzymie plakaty nawołujące do niesienia pomocy tej wygłodzonej i wyniszczonej części świata. Ta biedna Europa daje filmy, którym tłumy publiczności amerykańskiej przyglądają się z zapartym oddechem. Dlaczego tak się dzieje? Mam na to wytłumaczenie, jeżeli

nie zupełnie ściśle, to może jednak zbliżające się do prawdy. Europa jest poważna. A naiwność, brak rozróżnienia wielkich spraw ludzkich i małych spraw ludzkich kładzie każde dzieło sztuki, bo nie jest to epoka, kiedy można sobie bezkarnie pozwolić na naiwność. Amerykanie, którzy, podobnie jak Anglicy, są mistrzami filmu dokumentarnego, doskonałymi dziennikarzami prasowymi i filmowymi, zbyt często w filmie artystycznym pozwalają sobie na naiwność. Zbyt często nawet dobry temat (np. lotnik kanadyjski, lotnemu agencji Niemiec zabili żonę, tropi mordercę w Argentynie) zamienia się w ich rękach w kryminalną opowieść, nie mówiąc już o powodzi szmir muzycznych z wielkimi gwiazdami. Ostatecznie żeby zrobić dobry film, napisać wiersz czy powieść, trzeba mieć za sobą doświadczenie, wyznaczone poszczególnym przeżyciom ludzkim właściwe miejsce. Poza tym Europa zachodnia ma kapitał kultury plastycznej. Sięgnięcie do tego kapitału w momencie wielkich wstrząsów politycznych daje dobre warunki dla powstania wybitnych dzieł filmowych. Widziałem sale najwspanialszych Rembrandtów i El Greców w Waszyngtonie, widziałem tłumy chłonnej, chciwej publiczności. Myśle jednak, że młody Francuz, czy Włoch, którym przypała w udziale praca nad powojennym filmem ma nie mniej, a może więcej kultury plastycznej, niż stare wygi Hollywoodu.

W gronie przyjaciół dyskutowaliśmy w Londynie o możliwościach polskiego filmu i o tym, że tematy leżą dosłownie na ulicy. Starzy mieszkańcy Anglii oświadczyli mi, że film polski, przedstawiający okropności — „horror” — lat wojennych nie będzie miał żadnych szans za granicą. Publiczność angielska, a w jeszcze większym stopniu amerykańska, nie chce nie słyszeć o wojnie, nie chce oglądać ani czytać horrorów. To samo usłyszałem zaraz na wstępie w Ameryce.

I przekonałem się, że zdanie to było mylne. Publiczność amerykańska nie lubi ekslibicjonizmu horrorów, nie lubi aby pokazywano jej rozwekłe, z widocznym smakiem. Widziałem jednak bardzo dobry, krótki film, uzasadniający tezę, że Niemcy powinny być okupowane. Nie oszczędzono tam najokrutniejszych zdjęć z Majdanka i Belsen. Powodzenie filmów europejskich przedstawiających właśnie horrory poucza, że każdy temat, jeżeli przepływa przez niego nurt humanitaryzmu, wspólnej walki i braterstwa jest dobry.

Idzie tu wstrząsający film o walce podziemnej. Któż go zrobił? Włoch. Włoch zrobili film wojenny — i film dobry. Nazywa się „Otwarte miasto”. Rzecz dzieje się w robotniczej dzielnicy Rzymu w czasie, gdy linia frontu przebiegała przez Monte Cassino. Dwaj główni bohaterowie filmu: wybitny działacz ruchu oporu, komunista, weteran wojny hiszpańskiej — i ksiądz katolicki. Ten Rzym znany dobrze z Warszawy: patrole na ulicach, sprawdzanie dokumentów, godzina policyjna (5 po południu). Książę po godzinie policyjnej przenosi otrzymaną od komunisty tysiącstronicową księgę, w której każda strona jest tyścielirowym banknotem i wręcza ją wysłannikowi partyzantów. Jest blokada dzielnicy, łapanie, ładowanie więźniów w policyjne wozy i odbicie więźniów przez oddział bojowców, wyskakujących z ruin. Jest przebiegła akcja gestapo, zmierzająca do ujęcia wybitnego działacza. Łapia — jego i księdza, bezpośrednio po tym, gdy ksiądz wręczył mu nowe dokumenty i kierował go do jednego z klasztorów. Scena w gestapo: śledztwo przy pomocy tortur. Biorąc teoretycznie, taka scena jest niemożliwa do przekazania. Przyznaję, że bałbym się Alek Szuca, pokazanej przez naszych filmowców. Tutaj ta scena, zajmująca jedną trzecią filmu, jest przejmująco prawdziwa. Nie ma happy endu. Manfredi, który nie chce wydać organizacji, zostaje zakatowany, na

śmierć. Ksiądz rozstrzelany. Wytworny szef gestapo próbował też środków psychologicznych. Jego diaboliczna inteligencja przewidywała rozszczępienie sojuszu między komunistami i katolikami z chwilą klęski Niemiec. Tłumaczył Manfredemu, że powinien on wydać i w ten sposób pozbyć się swoich obecnych towarzyszy broni, a późniejszych przeciwników. Ksiądz, który nie wiedział kim jest Manfredi, poinformował obszernie, że jest to komunista, ateista i wróg Kościoła, z tym tylko wynikiem, że ksiądz powiedział: „drogi boskie są niezbadane” i błogosławił umierającego. Tak pokazał Niemców, jak pokazali włosy, reżyserzy, nie potrafił nikt, kto ich nie widział zbliska, w okresie ich panowania. Nie są to historyczne głupie bestie o ruchach pajaców, jak to zbyt często oglądaliśmy w filmach wojennych. Obserwacja psychologiczna jest znakomita. I okrucieństwo nie wprowadzone bynajmniej do psychopatii, głupoty czy zaślepienia. Pełna świadomość tego co robią. Autoironia. Orientacja w rozwoju sytuacji międzynarodowej. Świadome poniżanie innych narodowości (Gestapowiec częstuje oficera włoskiego papierosami. Prosi o zapalną, zapala sobie papierosa i zapalną gasi — scena przed egzekucją księdza).

Drugi film — szwajcarski — „Ostatnia szansa”. Nazwałbym go poematem międzynarodowego braterstwa. Cóż może być bardziej prostego i zarazem bardziej znanego milionom Europejczyków, niż ten temat: historia przejścia grupy uchodźców przez granicę. Grupa składa się z trzech oficerów alianckich zbiegłych z niewoli, kilku Francuzów, Żyda z małą siostrzenicą, rodziny emigrantów niemieckich, Jugosłowianina i dzieci włoskich. Przedostają się do Szwajcarii z Włoch, w chwili gdy Włochy zostały okupowane przez Niemców. Przejście ich przez góry. Jest to poemat międzynarodowego braterstwa nie tylko dlatego, że dialog toczą się po angielsku, włosku, francusku i niemiecku. O nazwie, której użyłem, decyduje zachowanie się ludzi. Chłop włoski mógł nie przewieźć oficerów alianckich pod workami z mąką przez strefę faszystowskich patroli. Dziewczyna włoska mogła nie dostarczyć im cywilnych ubrań. Proboszcz włoski mógł nie użyć im schronienia, ani nie opiekować się całą grupą nieszczęsnych rozbitków, przypłacając to aresztowaniem przez Niemców. Górski alpejski mógł okazać się zdrajcą. Oficer angielski mógł nie wrócić po ciężko rannego polskiego Żyda i nie narażać się na kule niemieckiej straży granicznej. A jednak ludzie tak postępują — i właśnie ta czystość moralna filmu pozwala na przekazanie wszelkich horrorów, które są okupione, zrównoważone. Bo nie brak ich bynajmniej. Armia niemieckich centaurów splywa w doliny włoskie budząc przerażenie ludności. Jest walka partyzantów, egzekucje, pacyfikacja i palenie miasteczek i wsi.

Trzeci z najlepszych filmów jest francuski: „Goupi les mains rouges”. Nakręcony po wojnie, nie ma w sobie nic z wojennej tematyki. Jest to życie rodziny prowincjonalnych oberżystów, małe życie wsi francuskiej. Goupi są ciekawą rodziną (każda rodzina jest również ciekawa, jeżeli potrafi ją zobaczyć artysta). Wspaniale narysowane postacie, tragizm, humor, burleska, kłótnie, radości i zmartwienia — coś co potrafią zrobić może tylko Francuzi: z trudem dostępną analizie umiejętność zatrzymania się nad szczegółem codziennego życia i wydźwignięcie tego szczegółu do wymiaru ilotności i grozy.

Trzy te filmy budzą rozliczne refleksje. Przez co zwyciężają? Nie przez jakieś nadzwyczajne osiągnięcia techniczne ani grę gwiazd. Jest u nich zato głęboki nurt wiary w człowieka, wysiłek utrzymania wiary w człowieka w obliczu zła. Są to filmy nadziei. Nie przyznajemy racji gestapowców,



który namawiał księdza, aby wydał komunistów, a komunistę, aby wydał katolików. Miał słuszną oficer angielski, ratując polskiego Żyda, chociażby później ten Żyd mógł przyczynić mu kłopotu w Palestynie. Górale włoscy umierali za dobrą sprawę.

Filmy te zwyciężają jeszcze przez to, że nie ma w nich postaci epizodycznych. Epizodycznych — a więc takich, których zadaniem jest posuwać naprzód akcję, ale które nie są osobami, absorbującymi naszą uwagę. Swojego czasu toczył się w prasie literackiej spór o to, czy wedle przepisów realizmu należy tworzyć postacie typowe, czy szczególne. Spór ten wydaje mi się czysto teoretyczny. W filmach które omawiam, nie ma ani jednej postaci, która by nie była skończoną indywidualnością, obdarzoną bogatym życiem, zakrytym oczom widza — ale które w każdej chwili mogłoby się ujawnić. Każda z tych osób, czujemy to, mogłaby stać się bohaterem wielkiej opowieści. I niech nikt nie mówi, że milczący Manfredi, gruby ksiądz Piotr, który boi się, ale wytrzymuje do końca, drukarz Francesco, beznogi chłopak wyrabiający bomby, dzieci robotnicze Rzymu, albo żona Francesca, szturmująca na czele kobiet do dworu piekarni — są to postacie poczęte w myśl autorów jako postacie typowe. Nie był też pomyślany jako postać typowa ten oficer gestapo, który mówi: „o tak, jesteśmy narodem panów. Wordujemy, mordujemy, gdzie stąpniemy wyrasta nienawiść, nic tylko nienawiść. I żadnej nadziei, żadnej nadziei” — a za chwilę rozwala głowę więźnia wystrzałem z rewolweru. Nie był planowany jako typ socjalny ani młody oficer angielski w szwajcarskim filmie, ani Goupi o czerwonych rękach, ni biedny Tonkin. Mogą wejść do kartoteki jako typy. Ale poczęła je obserwacja wypadków poszczególnych, to co sprawia, że choćby ktoś najpoprawniej rozumował o typach socjalnych, istniejących w Europie tego czasu — nikt poza Europą nie potrafi powołać ich do życia.

Bardzo żał polskich widzów filmowych, zmuszonych do oglądania „Pani Minister tańczy” i tym podobnych, przedwojennych bzdurow, bzdurow trujących. Jedyna rada, to produkować dobre własne filmy, co jak wemy przedstawia się smętnie i brać dobre filmy z zagranicy. W tej chwili w Ameryce jest dwieście kilkudziesięciu filmów (tak!) z gotową wersją polską, nagranych po polsku w ciągu wojny. Filmy te leżą bezużytecznie. Amerykanie darmo ich nie dadzą (pojęcie propagandy kulturalnej jest nieznaną w Ameryce, wszelka propaganda jest uznana za nieprzyzwoitość).

Należy sobie jedno powiedzieć: Polska może mieć wszystko z zagranicy, czegokolwiek zapagnie — jeżeli będzie produkować. Za towar uzyska towar. Kina wypełnią się najlepszymi filmami, księgarnie i biblioteki najlepszymi naukowymi i artystycznymi wydawnictwami. Ale musi produkować. Wiele innych narodów jest w podobnej sytuacji. Włosi są biedni. Tak, ale film „Otwarte miasto” przynosi im tysiące dolarów. Policzmy: duże kino nowojorskie wypełnione od dziesiątej rano do późnej nocy. Miejsce: dolar dwadzieścia centów i dolar pięćdziesiąt centów. A ile jest miast w Stanach, w Meksyku, w Brazylii, Argentynie, Francji, Imperium Brytyjskim? Franca dzisiaj jest zubożała. Ale może sobie pozwolić na wyświetlanie dobrych filmów z zagranicy, bo jej filmy pracują na nią zagranicą.

Pisząc to jestem pełen melancholii. Zwyczajną nieudolność, brak organizacji skłoni jesteśmy pokrywać słowami o nadzwyczajnych trudnościach. Od kilku tygodni męczą mnie wydawcy amerykańscy, pytając kiedy wreszcie dostarczę im książki i rękopisy polskich pisarzy, które obiecałem. Bardzo się interesują, chcieliby wydawać (twierdzą, że jest duże zainteresowanie Polską). Ale pomimo próśb, błagań, zaklęć nie mogę nic z Polski dostać, ani od polskich wydawców, ani od moich kolegów pisarzy. Chyba siądę i napiszę książki Brezy, Rudnickiego, Andrzejewskiego, Gojawczyńskiej, Dygata, Boguszewskiej, Kornackiego, Żukrowskiego — choć przekracza to trochę moje siły. Zaczęłam z pamięci rekonstruować Iwazkiewicza i napisałam połowę „Janosika” Jalu Kurka, ale dałam temu pokój. Plagą Polaków zagranicą jest nieodpowiadanie na listy i depeche (to nie znaczy że nie doszły — facet schował list do biurka i zapomniał). Podobnie jest

z polskim filmem. Włochy, Szwajcaria i Norwegia wejdą na rynki światowe, a u nas będzie się montować aparat techniczny. Czechosłowacja zbierze pierwsze nagrody, a u nas będzie się montować aparat techniczny. A szkoda. Dzisiaj każdy polski temat jest tematem międzynarodowym.

JANINA BRONIEWSKA

## Książki dla dzieci

Młoda osoba patrzy na mnie zza okularów, marszczy w skupieniu pigowaty nos, odrywa wreszcie okulary od bibulki, przez którą przerysowywała Disneyowskiego krasnoludka z „Królowy Śnieżki” i mówi bardzo uprzejmie:

— Naturalnie! Z przyjemnością! Dla 11-letniej dziewczynki? Zaraz pani wypiszę kilkanaście tytułów. Czy Orzeszkowa nie będzie za trudna?

Młoda osoba jest w drugiej gimnazjalnej, w czytelni przesiada godzinami i pożera, pożera książki.

— W szkole bardzo zimno, nieopalaną. Mnie interesują książki historyczne. Szczególnie z okresu starożytności. Zaraz, zaraz, sprawdź na okładce jak się ten autor pisze, bo to książka z angielskiego. Bardzo śliczna. „Pokój na poddaszu” także bardzo śliczny, taki prawdziwy, jak dzieci dają sobie radę same, bez rodziców, w tak ciężkich czasach, I ta Anka...

Drobnym charakterem pisma wypisuje mi długi rejestr sentymentalnych powieści „dla panienek”, przepłata je Makuszyńskim, Morcinkiem, Boguszewską, Górską.

Mówimy szeptem, bo taki tu już jest zwyczaj w tym najdziwniejszym z warszawskich lokali przy ulicy Piłsudskiego, o ciemnych zaciekach wilgoci w kątach, o półkach pełnych ocalałych spod gruzów książek dla dzieci i młodzieży. Dziś to same białe kruki, gromadzone po dobrych ludziach, skupowane od szabrowników, zacytywane aż do starcia rogów.

Przy sosnowych stolikach siedzą gromadkami dzieciaki i podlotki, nad „Koziołkiem - Matolek” te najmłodsze, oglądające w skupieniu przede wszystkim obrazki, starsze poruszające przy czytaniu wargami (bo tak się lepiej podobno rozumie), najstarsze z notatnikiem nad poważną lekturą. Przy sąsiednim stole dobrało się czterech koleżek, nawet się nie kopią pod stołem, bo każdy utkwili nos w książkę i zapomniał o t. zw. świecie bożym, o nieopalanym szkole, o domu, do którego przechodzi się przez wypaloną bramę, przez górę gruzów, chybotliwą kładkę nad lejmem, do oficyny, gdzie na trzecim piętrze jest właśnie to jedyne mieszkanie.

— Co czytasz, można zobaczyć okładkę? — pytam znów szeptem najbliższego młodzieńca z szóstej powozechni.

— Można! Przygody. Ja najlepiej lubię przygody — zwierza mi się z lekkim zażenowaniem.

Patrzę na tę salę, na te dzieci, które tu przesiadują godzinami z dobrą, nieprzymuszoną woli, w ciepło, na prawdę, ale i w skupieniu aż nienaturalnym w tym wieku, bez psich figlów, śmieszek, strasznie jakoś poważne.

Warszawskie dzieci, a może raczej wojenne dzieci. Dwa - trzy, albo i cztery lata opóźnione w stosunku do t. zw. poziomu naukowego, i tyleż conajmniej lat przedwcześnie dojrzale w stosunku do doświadczenia życiowego. Dzieci, które zarabiały handlem nie tylko na siebie, lecz i na rodziców. Dzieci, które widziały na własne oczy sprawy i sceny, których nie umieściłyby w książce żaden z autorów właśnie „dla dzieci”. I tutaj się zaczyna to najtrudniejsze, to najmniej zbadane, najtrudniej sprawdzalne zagadnienie — literatury dziecięcej.

— Wyszło około stu nowych książek. W głowie mi się mać po tej lekturze. Z całego stosu śmieci wybrałam dziesięć pozycji, które włączyłam do naszych książek — mówi mi w tejże dziecięcej czytelni jedna z pracowniczek. — Zupełnie jak przed wojną: wydania koszykowe, aby handel szedł. Nieznani autorzy, nieznanymi wydawcy, rysunki okropne. I to przy takim braku papieru, kiedy w jednym jedynym egzemplarzu ocalały „białe kruki”, które trzeba by koniecznie wydać ponownie, które muszą znów wrócić do dzieci.

I to jest pierwsza sprawa. Sprawa wznowienia tych książek, które przeszły próbę ognia i wojny, próbe przemian społecznych książek, których treść i forma dadzą dziecku jakieś przeżycie wprawdzie ożywcze, lecz czy najczęściej nie zmuszą go do myślenia o czymś, co nie ma żadnego związku z dniem codziennym, z otaczającą je rzeczywistością? A może niektóre z nich właśnie przeciwnie staną się punktem wyjścia do odkrycia tej rzeczywistości, do odegrania specjalnej roli wychowawczej? I czym się tutaj kierować zarówno w wyborze środków, czyli formy, jak i w treści, czyli celu wychowawczym? Odpowiedź dla pisarza „dla dzieci” na te pytania trochę przypomina sytuację pediatry wobec noworodka, który nie umie pomóc lekarzowi, bo nie umie opowiedzieć o sobie nic miarodajnego po za krzykiem nieartykułowanym. Zasięganie opinii samych zainteresowanych tj. dzieci o literaturze pisanej dla nich jest więcej niż zawodne. „Bardzo piękne” może być powieści-dla-dobrze-wychowanych „angielskich panienek, jak i społecznie głęboko prawdziwy „Pokój na poddaszu”, czy „Nad czarną wodą”. „Koziołek - Matolek” śmieszny niestety tak samo jak i wiersze Brzechwy, ale co z tego zo-

Bo chociaż linie graniczne dzielące na kawałki Europy są dotkliwe, świat żyje podobnymi problemami, jest jedną całością. I nie przeceniajmy techniki. Pierwszą w Ameryce wleść o odbudowującej się Warszawie przyniósł nie polski dodatek filmowy, ale pułkownik amerykański, któ-

ry z małym aparatem filmowym chodził po Marszałkowskiej, Poznańskiej i Kruczej i traktował to jako zabawę w czasie wolnym od zajęć. Zrobił to jeden człowiek bez biur, gmachów, szefów personalnych i atelier.

Czesław Miłosz

dziś nawet wspomnienia bohaterstwa właśnie samych dzieci z partyzantki, czy należy zrezygnować z tych wzorów bohaterstwa zwykłego żołnierza, czy należy wierzyć, że dziecku prócz oswajania się z okrucieństwami wojny nie wszczepiono i przy okazji jadu pywnej propagandy (antysemityzm w szkołach jest tajemnicą publiczną) i dlatego występują ci i owi na zewnątrz w obronie „apolityczności” literatury dla dzieci.

Może i w tej dziedzinie, w dziedzinie literatury dla dzieci i młodzieży należałoby wszcząć dyskusję nad „realizmem”, czy „mystycyzmem”, nad nową formą i nową treścią, wciągawszy do niej nauczycielstwo, kierowniki bibliotek, rodziców, organizacje społeczne, czyli tych wszystkich, którym nie jest obojętna sprawa czym zaspakaja się ten gład czytelnicy, jaki wpływ na psychikę dziecka ma przeznaczone dla niego słowo drukowane, kto nim szafuje i w jakim celu?

Sprawa ta zaczyna być coraz bardziej aktualna w wydawnictwach zarówno państwowych społecznych, jak i prywatnych, przygotowuje się cały szereg wznowień, może są nawet i nowe książki, nad którymi warto się zastanowić. Nie jest to przecie sprawa czysto biurokratycznej cenzury ani zamach na inicjatywę prywatną takiej czy innej firmy wydawniczej. Raczej chodziłoby o skoncentrowanie wszystkich możliwości wydawniczych jakimi dysponujemy, żeby jak najprędzej, jak najcelowiej odbudować tę zupełnie zdevastowaną a podstawową dziedzinę kultury narodowej. Rozmawiałam z autorami, którzy myślą o nowych książkach poświęconych odbudowie, wielkim przemianom społecznym, całym polaciom nowej Polski, przesuniętej na zachód. Tego się nie robi na własną rękę, bez możliwości docierania do skupisk dzieci, do podróży na nowe tereny, bez pomocy jakiejś instytucji. Może Ministerstwa Oświaty, może firm wydawniczych, a może nieistniejącej jeszcze sekcji Związku Zawodowego Literatów Polskich. Ale sprawa ta jest pilna. Nagląca.

Dekret o bibliotekach i opiece nad zbiorami bibliotecznymi jest już w opracowaniu polączonych komisji poselskich, ma on pokryć całą sieć bibliotek najbardziej zapadłe kąty. Czym wypełnimy półki dziecięcych działów? Czy bajkami braci Grimm, czy koszykowymi wydawnictwami „aby handel szedł”, „bardzo ślicznymi” powieściami angielskich cioci dla dorastających panienek i „Koziołkami-Matolekami” z rodzimej obórki?

Czy także na pewno są z sobą w kontakcie firmy wydawnicze, przygotowujące wznowienia książek ocalałych spod gruzów wojennych? Czy nie zaczną się dublować pewne wydania, a inne będą czekały (te najbardziej warte wznowienia) miesiącami na swoją „kolejkę”?

Te wszystkie wątpliwości nasunęły mi się w dziecięcej czytelni warszawskiej, która jest najpiękniejszym przybytkiem „dobrej nadziei”, że jednak powojenne dziecko jest nie-nasyconym pożeraczem książek. Zarówno te najmłodsze, oglądające dopiero obrazki, jak i te mądrala, robiące już notatki z lektury.

A teraz tylko od nas zależy, żeby mu dać tę książkę. I możliwie najlepszą. Dwa razy także daje, kto szybko daje.

Two Literackie im. Adama Mickiewicza

## Zjazd Naukowo-Literacki im. B. Prusa

Zjazd naukowo - literacki, odroczony w listopadzie r. ub., odbędzie się w Warszawie (Uniwersytet, Krakowskie Przedmieście 26) w czasie Zielonych Świąt, tj. w dniach 9 i 10 czerwca 1946.

Zjazd ten, przypadający w setną rocznicę urodzin twórców nowoczesnej powieści polskiej, Bolesława Prusa i Henryka Sienkiewicza, ma na celu zorientowanie się, jak przedstawiają się: stan, potrzeby i zadania nauki o literaturze w Polsce dzisiejszej i dążyć będzie do nawiązania zerwanych przez wojnę i okupację stosunków między nauką tej ośrodkami.

W związku z tym w czasie Zjazdu odbędzie się nadzwyczajne Zebranie Walne członków Twa Literackiego, obchodzącego w roku bież., sześćdziesiąt lat swego istnienia. Zadaniem Zebrania Walnego będzie reorganizacja Twa zgodna z wymaganiami dzisiejszej rzeczywistości (zmiana statutu, wybory władz Twa).

Obrazy Zjazdu toczyć się będą na zebraniach ogólnych i sekcyjnych. Szczegółowe pro-

gramy obrad uczestnicy ich otrzymują w sekretariacie Zjazdu.

Przewiduje się następujące sekcje:

1-o Historyczno - literacka (Twórczość B. Prusa i jego rówieśników — Problematyka epoki tzw. Pozytywizmu).

2-o Teoretyczno - literacka.

3-o Dydaktyczno - literacka (Nauczanie Literatury w szkole).

4-o Organizacji pracy naukowo - literackiej w jej dzisiejszych ośrodkach (Twa naukowe, wydawnictwa, biblioteki itp.).

Zgłoszenia udziału w Zjeździe i wszelkie za-pytania prosimy kierować pod adresem: Seminarium Historii Literatury Polskiej, Uniwersytet — Warszawa, przed d. 20 maja.

Warszawa, 1 maja 1946.

Za Komitet Organizacyjny:

Przewodniczący:  
Dr. Julian Krzyżanowski, Prof. Uniw. Warsz.

Sekretarze:  
Dr. Franciszek Bielak,  
Prof. Gimm. Nowodworskiego w Krakowie,  
Dr. Tadeusz Mikulski, Prof. Uniw. Wrocław.



LEON PASTERNAK

## Rzeź niewiniątek

## Nocą

Wpada nocą dwóch w kaszkietach,  
oraz jeden z brodą w pasku.  
Co za jeden? A-a-a — poeta.  
Znamy, znamy takich błąszków.

Książki, Pisma, To i owo,  
W każdym słowie wietrzą finte,  
Goethe pachnie wywołowo  
Puskina, Gogol — to Komintern.

Awangardy poemata —  
to są szyfry. — Oczywiście,  
„Co to? Panje... lite... rata...  
anty... tego... wanguardzista.

A to co? Ach tak? Dlaczego?  
Obmacują każdy świstek,  
Dante! Który? Ten co tego...  
brata... komunistę?

Kto to? Kiedy? Gdzie i po co?  
Podejrzane. To pseudonim.  
Sapła, węża, szepcą nocą —  
co Pan więcej powie o nim?

Związek? Przecież, Aha! Liga.  
O! Wyczył Pan się roli!  
U nas nikt się nie wymiga, —  
Ubrać się, i pan pozwoli.

Nocą Placem Teatralnym  
suną czwórki, Patrzą gapie,  
Księżyc błyszczy tak legalny  
jakby znaczek w klapie.

Taże nocą, tymże placem,  
także w czwórec chadzam,  
owinięty zaś w I. K. Ce  
dowód dźerży władza.

Awangarda — wina pierwsza,  
Dante, Goethe, tom Gorkija,  
no i autor tego wiersza  
wywołowa kompanija!

1936 r.

## Do pewnego poety

Pan jest „ponadpartyjny“, pan jest „ponadklasowy“ —  
W „Simie“ i w „Ipsie“, w „Ziemiańskiej“, u „Fronta“ —  
„Ludzkość“ pan mówi — „zawracanie głowy“.  
Albo „Piefotomontaż“.

Gdy jest pan „ponad“, w ogóle „powyżej“,  
ma pan dla słowa bałwochwalczy kult  
i szepcąc „Poezja!“ Zuzannie czy Mirze  
duszycka polata — ubi vult.

„Poezja! Poezji! Poezję! Poezjo!“  
Te oczy! Czupryna! Ta dykcja! Ten głos!  
Skandując nosowo przesłodkie słowo,  
jest pan uroczy wprost!

Wychodząc zaś z „Ipsu“, z „Ziemiańskiej“, od „Fronta“  
jest pan już inny, „bezkompromisowy“.  
„Sztuka dla sztuki!“ Piefotomontaż.  
Lub: „Zawracanie głowy“.

I jest pan „twardy“ i tak nieskończenie  
„nienawidzący“ — w zaciśnięciu szczęk  
że ma pan (przepraszam za wyrażenie)  
antypaństwowy szyk i wdzięk.

I wtedy „Hiszpania! Hiszpanii! Hiszpanio!“  
Te oczy! Te usta! Ta dykcja! Ten głos!  
Skandując nosowo przemodne słowo  
jest pan uroczy wprost!

1937 r.

## Niedziela

## w małym miasteczku

Smętnie kołyszają się muchołapki,  
płotki jak muchy bzykają wokół.

Pan radea dźwiga żonę i dziatki  
i brzuch swój do kina „Sokół“.

Placzą fryzjerzy na mandolinach  
i zapuszczają baczki na ukos.

Sentymentalna ta pantomima,  
wyciska łyż garkołułkom.

Pan prezes przywdział dziś mundur skąta,  
by wszystkich olśnić łydką i rangą  
Krowa przez szybę zerkła do auta  
i ryczy swe mleczne tango.

Rodzice zaś świętecznie nadęci  
władą podłotki, co piersi przeją.

Nisko klanają się absolwenci  
— to kandydaci na mężów.

A ulicami w nędzielnych spodniach  
krążą sztywnie, fałszywi Brodziszce.

Emeryci na plantach jak co dnia  
ciągną tabakę i ciszę.

Nuda zalata kasyno i klomb  
przykleja stopy i leje się z czoł.

Dziewczęta ziewając łynią srebrem plomb  
i chodzą objawiając się w pół.

Nie się nie dzieje, Nie się nie święci.  
Tu glob się chyba wolnej obraca.

Znamomi kręcą się konfidenci  
i korespondent Ikaca.

Tylko na murze farbą czerwoną  
hasło wypisał ktoś pokrywom!

Zyjesz więc przecież! Jesteś zbawionął  
Prowincjonalna Sodomoi!  
1937 r.

\*) Pod powyższym tytułem nakł. Spółdz. Wyd. „Czytelnik“ ukaże się wkrótce zbiór (1936—1946) wierszy satyrycznych Leona Pasternaka, z ilustracjami Mieczysława Piotrowskiego. Z książki tej wyjmujemy kilka utworów. (Red.)

## Nowe książki

Witold Pogranicz: Studia na tematy filozofii dziejów. Nakł. Spółdz. Księgarskiej „Czytelnik“ 1946.

„Pasowanie się z zagadnieniami filozofii dziejów ma w sobie urok szczególny. Można je porównać do fascynującej spinnaczki wysokogórskiej, gdzie co krok odsłaniają się nieznanne, przepyszne widoki, ale też grożą zawroty głowy“. Jeżeli chcemy zatrzymać się przy tych porównaniach Autora, to pozwólmy sobie uzupełnić dodaniem, że zawroty głowy w pracy naukowej doznaje się najczęściej wtedy, gdy się spogląda w przepaść zagadnień pozornych, w przepaść zagadnień źle postawionych. „Ileż pokus czyha na lekkomyślnego i mało krytycznego zdobywcę nowych ścieżek. Wiadomo, że „pokusy“ te najczęściej powodują zablakanie się i kręcenie się w kółko — fakt znany dobrze z opisów wypraw odkrywczych, zwłaszcza, gdy wyposażenie i umiejętności odkrywcy nie odpowiadają wielkości zadania, które sobie postawił. Filozofia dziejów jest może dziedziną wielkiego patosu i wyprawa odkrywczą na jej tereny może mieć urok fascynujący — lecz taka wyprawa musi ściśle określić swój cel: albo ma być swobodną włóczgą dla zbierania wrażeń i rozkoszowania się „przepysznyimi widokami“ — albo ma cele ściśle naukowe, i wtedy trzeba się zaopatrzyć w odpowiedni ekwipunek, w tym wypadku odpowiedni aparat metodologiczny. Autor przyznaje, że chodzi o ten drugi typ wyprawy. Nacisk jaki autor kładzie w pierwszym rzędzie na stronę metodologiczną, musi pozostawić szeregi kwestii merytorycznych do dalszego przeprowadzenia. Tej stronie metodologicznej książki poświęcimy trochę uwagi.

Zainteresowanie zagadnieniami filozofii dziejów jest w bieżącym czasie zupełnie zrozumiałe i „pytanie zasadnicze: Czy zakres nasz jest jednym z ogniw łańcucha cyklicznie typowo powtarzalnych zjawisk w świecie kultury, czy też posiada znamiona swego rodzaju jedności, a rozumienie tego faktu doprowadzi nas do usłania poglądu na jednolitość procesu dziejów powszechnych“ — jest rzeczywiście pytaniem spotykanym obecnie często. W pytaniu autor zawarł zarazem odpowiedź. Proces dziejów powszechnych jest procesem jednolitym. Może być, że od gromad pierwotnych do Organizacji Narodów Zjednoczonych prowadzi prosta i konieczna droga. Klóż to może wiedzieć?

Autor starał się to wykazać. Zadanie rzeczywiście niełatwe i to na tak skromnym materiale jakim autor się posługuje. Rzut oka na przytoczoną bibliografię musi już budzić wątpliwości, czy tak poważne zadanie mogło zostać zadowalająco rozwiązane, w oparciu o tak niewielkie przygotowanie.

Zamiary Autora były poważne. Pociągnięty go fascynujący urok wielkich za-

gadnień, błysnęły myśli wykazania jednolitości procesu dziejowego, lecz nie starczyło umiejętności i wiedzy. Przede wszystkim cały szereg nieporozumień dotyczących języka.

Autor pyta „Czy filozofia historii może być nauką empiryczną? Jeżeli tak, jak mamy jej empiryczność pojmować i jakie są jej granice? Jakie są postulaty i warunki formalne, przy których spełnieniu mogłaby się urzeczywistnić taka koncepcja? I zaraz na następnej stronie czytamy cytaty z Jerusalema (Wstęp do Filozofii) „Filozofia jest pracą myślową, podjętą w zamiarze połączenia codziennych doświadczeń i wyników badań naukowych w wolny od sprzeczności pogład na świat, zdolny zaspokoić potrzeby rozumu i wymagania uczucia“. Pomińmy już, że fakt zacytowania tego określenia, jako „trafnego i zadawalniającego“, pozwala czytelnikowi od razu zorientować się w poziomie dzieła. Jeżeli więc filozofia historii jest filozofią w sensie powyższej definicji, to rzecz jasna nie może być nauką empiryczną, chyba że empiryczność pojmujemy w sposób zupełnie swoisty.

Charakterystyka metody indukcyjnej podana w dalszym ciągu budzi zastrzeżenia. Jest to rzeczywiście empiryczność dość specyficzna. — Autor pisze: „Przypomnijmy sobie stadja empirycznego traktowania materiału faktów: a) opis, b) porównanie, c) wymierzenie — w zakończeniu sformułowanie sądu ogólnego“. Jest to zbyt wyinterpretowane i zbyt ryzykowne ujęcie empirycznego postępowania. Przede wszystkim co znaczy wymierzenie?

Przypuszczam, że o pomiar chodzi wszędzie tam, gdzie Autor mówi o wymierzeniu i wymierności. Otóż filozofia historii powinna spełnić „warunek uzasadnionego doświadczeniem systemu wymierności. Poznać to znaczy zmierzyć — na tej elementarnej zasadzie wspiera się poznanie zwane dyskursywnym, operujące zdefiniowanymi pojęciami w ramach zasad logiki“. Trudno „zmierzyć“ intencje Autora — i dlatego trudno „poznać“ sens tego zdania. Według Autora istnieją różne „sposoby wymierności“. „Drugim sposobem wymierności jest klasyfikacja i systematyzacja“. „Ostatnim sposobem osiągnięcia wymierności jest wartościowanie. Takim to oto dziwnym „sposobem“ filozofia historii staje się nauką empiryczną. „Wartościując zaś w grę wprowadzamy również czynniki emocjonalnej, subiektywnej oceny na różnych płaszczyznach: piękny — brzydki, dobry — zły, ważny — nieważny itp.“ Istnienie ocen na terenie filozofii historii nie odbiera jej charakteru nauki obiektywnej, gdyż „dochodzimy do przekonania, że te dwa stanowiska obiektywne i wartościujące — teoretyczne sobie silnie przeciwstawne, w praktyce zbliżają się do

siebie: obiektywność nie może się obejść bez założeń, a sensowne wartościowanie nie może się obejść bez podbudowy faktów. Po wielu jeszcze różnych koziółkach myślowych (bo chyba nie rozumowaniach) autor dochodzi do wniosku, że „dzieje ludzkości są systemem wymierności dla świata kultury i t. d.“

Wszystko to razem wzięwszy jest nie-poważne. Dla kogo jest ta książka przeznaczona? Dla inteligencji szukającej naukowego podejścia do zagadnień współczesności? Stanowczo nie, bo może wnieść tylko zamęt. Dla naukowców, historyków lub socjologów? Też nie, bo wzbudzi tylko wzruszenie ramion. Książka ta jest nieporozumieniem. Skromną bibliografię trzeba by koniecznie uzupełnić kilku jeszcze pozycjami np. Ajdukiewicz: „Logiczne podstawy nauczania“. Kotarbiński: „Elementy“. Mehlmann: „Wprowadzenie do zagadnień filozoficznych“. Handelsmann: „Historyka“. Uzupełnić dlatego, żeby dowiedzieć się w sposób krótki i prosty czegoś o elementarnych pojęciach metodologii i teorii poznania, czego nie może dać „Wstęp“ Jerusalema, Carrel nie jest autorytetem w sprawach metodologii.

„Świadom niedoskonałości tego studium wyrażam jednak nadzieję, że nie posiada ono rażących braków“. Nadzieja to nieuzasadniona, książka posiada rażące braki. Przytoczone wyżej cytaty nie zostały wybrane przez złośliwość, lecz dla wskazania, że język Autora tak dalece odbiega od przyjętego języka naukowego, że uniemożliwia krytykę rzeczową. Również krytyka immanentna jest niemożliwa wobec trudności uchwycenia jakichś zasadniczych intencji znaczeniowych.

Merytoryczne rozważania nad procesem historycznym, pozostają pod silnym urokiem kierunku geograficznego w socjologii, lecz zgodnie z pewnego rodzaju swobodą filozofowania, zostają utopione w powodzi niezawsze uzasadnionej terminologii. Sprawa empiryczności nauk społecznych jest sprawą ważną i wymagającą gruntownej analizy. Obejmuje ona wiele wątpliwości np. czy niepowtarzalność faktów historycznych dopuszcza stosowanie metody indukcyjnej, weryfikowanie

hipotez itp. Opis nie jest pierwszym krokiem w badaniu empirycznym. Opis dokonany jest już w języku jakiejś teorii. Autor podjął się wielkiego zadania, lecz ta próba rozprawienia się z zagadnieniami metodologii filozofii historii zakończyła się klęską. Nie mogło być inaczej. Na pociechę polecam Autorowi zapoznanie się z „Badaniami środowiska społecznego“ St. Rychlińskiego. Rozdziały pierwsze tej książki są podobną klęską poniesioną przez uczonego o wielkiej rutynie naukowej.

„Studia“ są rozprawką amatorską, a największą ich wadą jest nieuzasadniona pretensja do rozstrzygnięcia zagadnień, z doniosłości których Autor nie zdaje sobie sprawy i których nie potrafi poprawnie postawić.

Jan Szczepański

## Wynik konkursu

W związku z konkursem dla naszych krytyków, ogłoszonym w Nr 15 „Kuznica“ str. 14 przytoczamy jako najtrafniejszą odpowiedź pana Antoniego Gołubiewa, która ukazała się w „Tygodniku Powszechnym“.

Pytanie: Dlaczego żart rysunkowy (umieszczony w Nr 15 „Kuznicy“) z ilustracją o tak dobranej treści nie powinien być się ukazać w „Kuznicy“ a raczej w „Tygodniku Powszechnym“?

Odpowiedź: Dlatego, że „Kuznica“ wyznaje światopogląd, według którego zmiana warunków zewnętrznych (cywilizacja, ustrój, technika itp.) automatycznie zmienia człowieka, „Tygodnik Powszechny“ uważa zaś odwrotnie: bez głębokiej zmiany wewnętrznej (praca własna i łaska Boża) najbardziej unowocześnione atelier nic nie pomoże; bez przebudowy swej duszy człowiek pozostanie tym samym egoistycznym zadowolonym ze siebie opasłym cielskiem, choćby siedział w nowoczesnym mieszkaniu, na sprężynowym fotelu stalowym i czytał „Kuznicę“.

Na tym właśnie polega złudzenie postępu. Jednocześnie Redakcja przekazuje p. A. Gołubiewowi nagrodę w sumie zł. 1.000.

Inne odpowiedzi nie zasługiwały na wyróżnienie, jako zupełnie nie trafne.

Redakcja

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA  
„CZYTELNIK“

Adam Ostrowski  
HUGO KOŁŁATAJ  
ojciec demokracji polskiej

Cena zł. 35.—

Do nabycia we wszystkich księgarniach

Bogusław Leśnodorski  
KONSTYTUCJA 3-go MAJA  
jako dokument Oświecenia

Cena zł. 25.—



## PRZEGLĄD PRASY

Przeglądamy dwa pisma lubelskie: „Kameny” i „Zdrój” i z przykrością konstatujemy, że zarzut „provincializmu”, którego najchętniej uniknelibyśmy zwłaszcza w stosunku do zastawionej dla sprawy poezji polskiej „Kameny” jest niestety w obu wypadkach słuszny. Przed kilkoma tygodniami omawialiśmy w naszym przeglądzie prasy zagadnienie prasy literackiej ośrodków takich jak Śląsk, Lublin czy Pomorze. Rozmyślnie nie dzieliłiśmy wówczas prasy na „centralną” i „provincialną”, starając się jedynie różniczkować ją na złą i dobrą, to znaczy na taką, która spełnia swoje zadanie i taką, która zadania tego nie spełnia. Provincializm rzecz prosta nie polega na tym, że pisma te korzystają z współpracy autorów danego okręgu, bo wiemy na przykład, że redagowane w Lublinie zasilane głównie przez miejscowe pióra młodych „Światło” potrafiło w niedługim czasie osiągnąć to, że czyta się je, z zainteresowaniem poza granicami miasta Lublina.

Zeszyt 4 — 5 „Kameny”, jak zresztą i zeszyty poprzednie, różni się, niestety, wielce od tej „Kameny” jaką pamiętamy sprzed wojny. Numer otwiera „Refleksje” (z „Kropel humanizmu”) Tadeusza Bocheńskiego. Są to niesłychanie dowolne i metne uwagi o poezji, dotyczące bardzo już przebrzmiałych zagadnień treści i formy. Uwagi te w żadnym wypadku nie będą rewelacyjne dla czytelnika obyczajnego z poezją. Natomiast dla nowych czytelników poezji są po prostu szkodliwe, przesłaniając im istotne dziś problemy poetyckie swoją napuszoną i pseudofilozoficzną frazeologią.

W dziale poezji spotykamy utwory poetów starszego pokolenia: Piechala, Słobodnika, Tymofiejewa. Poza tym zamieszczono tu kilka utworów poetów debiutujących. Jesteśmy zdania, że „Kameny” jako miesięcznik poetycki ma oczywiście obowiązek ułatwiania publikacji poetom młodym i zdolnym. Wydaje się nam jednak na podstawie lektury wierszy zamieszczonych w nr. 4 — 5, że debiutanci owi spełniają tylko pierwszy warunek.

Obszerny dział przekładów przynosi nam kilkanaście utworów poetów czeskich i słowackich, w tłumaczeniach Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, Stefana Oreczyka i innych. I tu znowu nasuwa się nam uwaga: nie sądzimy, by obecny stan poezji w Polsce i wiedza o tym, co zrobiono i co robi się obecnie na odcinku poezji poza granicami Polski upoważniał nas do tak obszernego zajmowania się poezją bądź co bądź z punktu widzenia historii literatury drugoplanową. Wtedy nie wiele i nie wiele mamy przekładów z poezji angielskiej czy francuskiej, znamy lirykę rosyjską tylko w jej punktach zasadniczych („Puszkin, Blok, Majakowski”) — czy w takim stanie rzeczy forsowanie przekładów z literatury mniej zasadniczych dla kultury jest celowe? Zdajemy sobie sprawę, że publikując tak obficie informacje i przekłady dotyczące pomniejszych literatur słowiańskich, redakcja „Kameny” kontynuuje swoją dawną linię. Ale wydaje się nam, że sytuacja przed wojną była nieco inna, że byliśmy dość mocno nasycony tradycjami literatury europejskiej: Francji, Rosji, Anglii. Dziś niestety sprawa przedstawia się inaczej.

Provincializm „Zdroju” przejawia się przede wszystkim w zamieszczaniu przez to pismo tekstach poetyckich i oryginalnych utworach prozą. W numerze 9 mamy wyjątek stanowi fragment poematu dramatycznego Anny Świrskiej „Orfeusz”. Nie wydaje się nam również by artykuły w rodzaju „Leonarda da Vinci” Wandy Zwiągłej miały się istotnie przyczynić do spopularyzowania sztuki i upowszechnienia kultury co jest przecież naczelnym postulatem „Zdroju”. Dialog między Leonardem i „piękną a kapryśną, młodą żoną księcia, Beatrycą d'Este” nie wyjaśni nic nikomu. Z przykrością zwłaszcza czyta się dobre rady p. Wandy Zwiągłej dla Leonarda, który „popelniał błąd nadmiernego uniwersalizmu”. Wydaje się nam, że krótki życiorys Leonarda, poprzedzony niewielkim wstępem historycznym dotyczącym jego epoki, dałyby napewno lepsze rezultaty. To właśnie posunięcia „Zdroju” świadczą najlepiej o jego provincialności.

Te same zarzuty wreszcie musimy postawić z kolei poznańskiemu „Życiu literackiemu”. W nr. 7 — 8 tego pisma kronika zwręła się już wyłącznie do spraw poznańskich, w dziale poetyckim przeważają bardzo słabe utwory. O życiu kulturalnym Niemiec hitlerowskich pisze Aleksander Rogalski w artykule „Przez kulturę do demokracji”. Artykuł ten, będący w istocie obszernie zgłoszoną kroniką przynosi pokaźną ilość wiadomości dotyczących niemieckich repertuarów teatralnych, niemieckich wydawnictw książkowych i periodycznych. Rogalski przytacza między innymi ciekawy fragment z artykułu redaktora nowego miesięcznika „Die Wandlung” Karla Jaspersa, który „wyraża niesprawiedliwie — jak komentuje ten fragment Rogalski — brak oporu ze strony inteligencji niemieckiej przeciwko hitleryzmowi i nawet gloryfikuje jej bierność w sposób iście filozoficzny”.

Wreszcie zwracamy uwagę czytelników na esay A. N. Whiteheada „Religia i nauka” (tłum. Anny Iwaszkiewiczowej). W esayu tym bowiem, którego początek zamieszczono w poprzednim numerze „Życia literackiego”, znajdujemy próbę dopasowywania osiągnięć współczesnej fizyki do potrzeb teologii. Wdzięczne to zadanie rozwiązuje angielski autor w ramach swoich bardzo subiektywnych poglądów, pokrywanych rzekomo autorytetem współczesnej wiedzy.

Wszystkie trzy recenzowane przez nas pisma w większym lub mniejszym stopniu cierpią na chorobę „provincializmu”. Wiemy dobrze, że nie zawsze jest to wina redakcji, zmuszonej do korzystania z tego materiału,

który jest w danej chwili. Nasuwa się jednak pytanie: czy — jeśli dane środowisko kulturalne nie dość jest aktywne, by jego pismo literackie zainteresowało nas poza obrębem tego środowiska, wydawanie takiego pisma jest celowe? Pytanie to stawiamy retorycznie. Pismo w Polsce mamy dziś więcej niż przed wojną, mimo to wszelka akcja likwidatorska byłaby niesłuszna, zwłaszcza tam, gdzie istnieje tylko jedno pismo: Poznań. Czy jednak z drugiej strony redakcje lubelskie (Kameny, Zdrój) nie mogłyby postarać się o większą selekcję, o mniejszy partykularizm (Zdrój) o większą łączność z ogólnokrajowymi sprawami kulturalnymi? Sądaliśmy, że te skromne nasze uwagi, wypowiedziane jedynie z pobudek życzliwych wobec omawianych pism, również zycielwie będą przez nie przyjęte.

Tygodniki katolickie stają się terenem gorączkowej obrony spirytualistycznej ideologii przed „hałasującą doktryną materializmu dziejowego” (cytat z artykułu p. Stanisława Ziembickiego, „Błogosławiona trwoga”, „Tygodnik Warszawski” nr. 10).

W taktyce obronnej pożyja trzech tygodników katolickich nie jest bynajmniej jednakowa. „Tygodnik Warszawski” wydaje się być najbardziej konwencjonalny i najkonserwatywniejszy. Rzecz ciekawa, że materiał literacki „Tygodnika Warszawskiego” jest ankiomy, ustępując pod tym względem „Dziś i jutro”. Zarówno „Tygodnik Warszawski” jak i „Tygodnik Powszechny” poświęcają sporo miejsca sprawom ściśle religijnym. „Dziś i jutro” natomiast prowadzi żywy dział literacki, znajdujemy tam nie-

rzadko bardzo interesujące artykuły informacyjne.

W nr. 18 „Dziś i jutro” Witold Bieńkowski w artykule „Wstęp do rozważań politycznych” zastanawia się nad możliwościami współpracy katolików z obecnym demokratycznym ustrojem i dochodzi do wniosku, że współpraca taka jest całkowicie możliwa. Bieńkowski lojalnie wskazuje na rozmaite skrupuły pewnej części katolików z drugiej strony jednak stwierdza, że „polityczne metody realizacyjne katolików mogą być różne”. W tej chwili jest już dla nas jasne, a artykuł Bieńkowskiego jeszcze bardziej nas w tym upewnia, kładąc w pewnej mierze program politycznego działania, że obóz katolicki w Polsce nie jest jednolity, że jak sam Bieńkowski o tym pisze: „Stałoby się najgorzej, gdyby i tym razem ujawniły się różnice wśród katolików, gdyby katolik radykalny i katolik konserwatywny nie doszli do porozumienia w takiej najistotniejszej sprawie, jaką jest budowanie społecznego życia polskiego na zasadach sprawiedliwości chrześcijańskiej. Przyjmując jako warunek świadomości działania w czasach radykalnych i rewolucyjnych przemian, artykuł Bieńkowskiego świadczy o niewątpliwym realnym politycznym konsolidującym się coraz bardziej grupy katolików radykalnych”.

W tym samym numerze „Dziś i jutro” (18) znajdujemy początek obszernego studium o prozie Jarosława Iwaszkiewicza pióra palego w walce z okupantem Włodzimierza Pietrzaka, jednego z najbardziej utalentowanych krytyków młodego pokolenia. Początek studium przynosi analizę poszczególnych utworów i zawiera próbę określenia stylu Iwaszkiewicza. ph.

## NOWE WYDAWNICTWA \*)

Między Tomaszowem Lubelskim a Rawą Ruską, o 15 km od tej ostatniej, rozłożyło się małe nieznanie nikomu miasteczko, jedno z wielu mieszanych polsko - ukraińskich miejscowości nadbużańskich powiatów. Niemiecki mord miał rozlać się Bełżec, by stał się symbolem potworności.

Niewielka to książeczka, wydana przez Wojewódzką Żydowską Komisję Historyczną w Krakowie z jednym słowem: „Bełżec” na czarnej okładce. Niewielka, bo niewielkie zostało urzędowych dokumentów niemieckich w odniesieniu do Bełżca, bo niewielu uratowało się Żydów, którzy po ucieczce z transportu ukrywali się w okolicznych wioskach i lasach, bo nawet „aryjskiej” ludności miejscowej nie wolno było poruszać się w kierunku lasu, gdzie znajdowało się obóz. „Cały teren od Bełżca zajęty był przez SS. Niektórzy nie wolno było nie tam pokazywać. Strzelano w zabłąkanych cywilów”. Niewielka to książeczka, ów nekrolog i poświęcony dwóm milionom trupów. Część wstępu do niej opracowała Nelly Rost. Jest to o tyle wstęp, że zajmuje się dopiero transportami do Bełżca i sposobem ich organizacji. A transport był już wstępem śmierci.

„W Skawinie załadowano po 160 ludzi do wagonu, napełnionego wapnem niegazowanym, przykrytym słomą, odrutowanym. Jedzenie i bagaż odebrano”. „Do wagonu wciśnięto po 150 osób. Niemcy wyspali do wagonów prosek amoniakowy, który dusił i wyciskał łzy. Wszystkie rozpaczali, dzieci płakały. Naprzeciw tego pociągu stał pociąg osobowy, w którego piumanowskich wagonach przy oknach stały Niemki i głośno śmiały się z rozpazy Żydów”.

Tak zeznają nieliczni Żydzi, którym udało się wyskoczyć z pociągów śmierci i przetrwać w okolicznych lasach. A to nie było takie łatwe. Trzeba było, nie zwracając uwagi eskortującego gestapowca, oderwać deskę w wagonie, przecisnąć się przez ciasny otwór i wyskoczyć w biegu pociągu. „Prócz ucieczki trzeba było przejść pośród mieszkańców wsi przytorowej... Przechodnie wylapywali nas i oddawali niemcom” — skarży się Żydzi. Tak, gorycz z powodu wszechwładnej potęgi ciemnoty przebiega z wielu zeznań.

Od marca 1942 do lata 1943 działała śmiercionośna maszyna Bełżca, produkując gaz spalinowy i tlenki węgla. W oficjalnym dokumencie pisze Hapsturmführer Hoefle, że trzeba

„dziennie dostarczyć 4—5 transportów po 1000 Żydów do stacji końcowej Bełżca. Ci Żydzi przejdą granicę i nie wrócą więcej do Generalnej Guberni”.

Ale plan został przekroczony. „Stacja końcowa Bełżec” przyjmowała i 15.000 ludzi dziennie, a z dwóch milionów Żydów jednemu zaledwie udało się nie „przekroczyć granicy” i uciec. Gdyby zaś nie uciekli z obozu Rudolf Reder, mydlarz-chemik ze Lwowa, wykorzystując przypadkową sytuację, badania historyczne dotarłyby jedynie do wielkich wrót obozu. A z hipotez jakie by różni badacze stawiali, żadna nie dosięgłaby granic prawdy. Bo takiej zbrodni nie mógł pojąć ani wymyśleć człowiek o zdrowej psychice. Na podstawie zeznań Redera udało się odtworzyć topografię obozu, mechanizm maszyn śmierci i metody uśmiercania. Umieszczony wśród gestych lasów sosnowych sam obóz był bardzo mały. 3 baraki luksusowe dla Niemców, dwa były jak sklecone dla żydowskich robotników, których liczba nigdy nie przekraczała 500, kuchnia, magazyni zrabowanych rzeczy, 6 komór gazowych i tereny na masowe gro-

by. Nad tą częścią Niemcy rozpieli dach zrobiony z gładkiego drutu, na którym rozłożono zielen. Chodziło o zabezpieczenie terenu przed obserwacją z samolotów.

„Budynek, w którym mieściły się komory był niewysoki, długi i szeroki, z szarego betonu, miał dach kryty papą, a nad nim jeszcze jeden dach z siatki pokryty zielenią. Z frontu budynku umieszczony był duży wazon z różnokolorowymi kwiatami. Na ścianie wypisane było czytelnie i wyraźnie: Bade und Inhalationsräume.

„Zaraz po wysładowaniu ofiar z pociągu zgromadzone je na dziedzińcu... i tu Irrmann (szef załogi) przemawiał: Była śmiertelna cisza. Każdy chciał słyszeć. Nadzieja nagle w nas powstała — jeśli do nas przemawiają, może będziemy żyć, może będzie jakaś praca, może będzie... Irrmann mówił bardzo głośno i wyraźnie. „Ihr geht jetzt baden, nachher werdet ihr zur Arbeit geschickt”.

To wszystko. Wszyscy ciszyli się, że jednak idą do robot. Bill brawa. Pamiętam te jego słowa powtarzane dzień w dzień, trzy razy dziennie przez cztery miesiące mojego tam pobytu. To była chwila nadziei i złudzenia. Ludzie oddychali przez chwilę z ulgą. Był zupełny spokój. W ciszy cały tłum szedł dalej, mężczyźni wprost do baraku, na którym było napisane „Bade und Inhalationsräume”. Kobiety szły jeszcze jakieś 20 m. do dużego baru, w którym golono im włosy. Wchodziły nie wiedząc, po co się je tam prowadzi. Jeszcze była chwila spokoju i ciszy... Z chwila gdy kobiety gnano nagie, ogolone, bez liczenia, jak bydło, mężczyźni ginęli już w komorach... Kilkunastu SS-manów gnano pejsami i ostrymi bagnietami kobiety aż do budynku komory... odliczając po 750 osób do komory. Kobiętom, które wzbraniały się wejść, wbił w ciało bagnety... i w ten sposób wpędzał je do kaźni. Słyszałem zastawiane drzwi, jęki i krzyki, słyszałem rozpaczliwe wołania po polsku i po żydowsku, mrozące krew lamenty dzieci i kobiet, a potem jeden wspólny, przeraźliwy krzyk. Trwało to 15 minut. 20 minut szła maszyna, a po dwudziestu minutach było cichutko, drzwi rozsuwali askarzy (wartownicy niemieccy) po zewnętrznej stronie, a ja z innymi robotnikami... zaczęliśmy pracę. Ciągnęliśmy trupy... do olbrzymich grobów, a orkiestra przy tym grała, grała od rana do wieczora.

„W magazynie zbierano włosy i rzeczy przez 10 dni, a po 10 dniach ładowano osobno worki z włosami i osobno z ubraniami, po czym zajeżdżał, pociąg towarowy i zabierał te łupy.

„Transporty przychodziły codziennie bez jednego dnia przerwy przeważnie trzy razy dziennie. Każdy pociąg liczył 50 wagonów, a każdy wagon 100 ludzi. Przeciętnie dziennie uśmiercano 10 tys. ludzi. Bywało, że transporty były jeszcze większe i częstsze. Przyjeżdżali Żydzi zewsząd i tylko Żydzi. Bełżec służył wyłącznie do uśmiercania Żydów”.

Tak to prosto i potężnie w surowym realizmie, bez żadnych upiększeń literackich opowiada Reder o Bełżcu, małym obozie, gdzie kilkunastu SS-manów bez żadnych selekcji wykonywało wyroki szaleńców.

Niewielka to książeczka. Ale gdyby przeczytali ją tchnący litością dla „biednych” Niemców ich przyjaciele z zachodu, może pojęliby ogrom zbrodni i grozę niemieckiego niebezpieczeństwa, niezamarłego, czającego się w każdym Niemcu. Bo z okien pulmanowskiego pociągu na stacji w Stryju wychylały się Niemki i śmiały się z rozpazy Żydów. Kobiety — matki i żony.

I dlatego bardzo pożądana byłaby inicjatywa Komisji Historycznej jeśli chodzi o tłumaczenia swych wydawnictw na języki obce — przede wszystkim na angielski, — i rzucania ich na rynki zachodnie.

Marianna Margal

## Przeгляд wydawnictw

Poznańskie Wydawnictwo Instytutu Zachodniego wydało już szereg broszur, które wśród aktualnej i poważnej publicystyki zdobyły sobie niewątpliwie jedno z pierwszych miejsc.

Cykl wydawniczy traktujący o Ziemiach Zachodnich otwiera „Odra — Nissa najlżejsze granice Polski”. Broszurę napisali Maria Kielczewska i Andrzej Grudek.

Umiejętność redagowania sprawia, że rzeczy na ogół znane i powtarzane nabierają w broszurze nowego wyrazu. Nie od rzeczy będzie nawet zacytować wstęp, rozpoczynający serię wydawnictw Instytutu Zachodniego a zamieszczony we wspomnianej broszurze. Prof. Zygmunt Wojciechowski, dyrektor Instytutu pisze:

„Zadaniem niniejszej publikacji jest zwrócić uwagę społeczeństwa polskiego na doniosłość przeżywaną chwilę dzielowej; Polska przez wieki spychana ze zrebry swych ziem rdzennych wraca nad Odrę i Nysę, odzyskuje całość swych terytoriów macierzystych.

Przesunięcia granic są w historii państw zjawiskiem częstym i znanym. To jednak przesunięcie, przed którym Polska obecnie się znajduje ma znaczenie zupełnie wyjątkowe. Od Odry i Nysy bowiem rozpoczęła się przed wiekami narosła raka, który w pruskiej a ostatecznie hitlerowskiej postaci dążył do całkowitego wytepienia imienia polskiego. Jeżeli ten rak ma zostać z organizmu polskiego usunięty, to musza mu być wyrwane korzenie, żadna odnoga jego nie może w ciele polskim pozostać. Dlatego też Polska musi wrócić nad Odrę i Nysę”.

Jest w pracy Kielczewskiej i Grudka treścią wyrażona geneza zaborczości niemieckiej: równoległe do Nysy bieły niegdyś wielkie uroczyska graniczne, prawdziwa średniowieczna linia Maginota. Do dziś zachowały się resztki tych urządzeń obronnych w postaci potrojonych wałów. Ciągną się one przeszło 100 kilometrów i podchodzą prawie do Sudetów, bronili one wejścia na teren ziem nadodrzańskich, które w całości były polskie.

To, że tu znajdowała się brama wypadowa niemieckiej agresji, pisze o tym nawet niemiecki geograf Paritsch, który w swej książce o Śląsku z 1895 r. tak ocenia ekspansyjne możliwości niemieckie: „Donioło zdobycie Śląska dało Prusom możliwości większej ekspansji lądowej, a specjalnie zachęcało do dalszego zaokręglania na wschodzie. Polityczna konieczność stała się wówczas posiadanie Wielkopolski. Nie ulega wątpliwości, że zdobycie Śląska wprowadziło pruska politykę na drogę, dążącą do rozbiórki Polski”.

Po uzasadnieniu polityczno - historycznym nie trzeba również zapominać o naturalnym członku Ziemi Odzyskanych do Macierzy.

Pierwsi Piastowie ustalali bowiem suwerenność Polski nad Pomorzem i przyłączały do państwa polskiego teren etnicznie doń należący.

„Równocześnie” — mówi broszura — „myśl polityczna organizatorów państwa musiała oprzeć się o północno-zachodnie kresy nadmorskie, ażeby nowo tworzącemu się organizmowi państwowemu dać naturalne podstawy. Wspólnota szczepowa, pokrewny język, jedność religijna i organizacja władzy duchownej i świeckiej przyczyniły się do scalenia ziem polskich aż po Bałtyk. Ważne drogi prowadziły z Wielkopolski przez gród nad Wartą — Santok, do Szczecina, z Uścicia do Pyrzyce i Szczecina, oraz wzdłuż Wisły do Świecia”.

Tak Pomorze było na najlepszej drodze do zrośnięcia się z resztą ziem Polski w jeden organizm państwowy, a ludność do utworzenia jednego narodu.

Interesującą przedstawia test dalej geneza upadku „niemieckiego wschodu”. Der deutsche Osten im Not — rozlegało się przed wojną po całym Niemczech, a w setkach publikacji i artykułów najciężsi uczeni i politycy obrazowali niedostatki niemieckiego wschodu. Rady opracowywały kolejno „Sofortprogramm, Osthilfegesetz i Notverordnung” o pomocy i powstrzymaniu gospodarczego upadku prowincji wschodnich. Rzeczywiście prowincje te upadały, zwłaszcza rolnictwo znajdowało się w niezmierne ciężkim położeniu, na skutek upadku dochodowości, niskich cen produktów rolnych i zadłużenia.

Z dziesięciu powiatów wschodnich od 1925 do 1933 r. w okręgu koszalińskim — sześć miało bezwzględny ubytek ludności o 6.517 osób. Zaludnienie tych ziem jest minimalne: w 1938 roku Koszalin wykazuje tylko 51 osób na kilometr kw., a tereny pograniczne nawet 41. Tu się zrodziły źródła rewizjonistyczne i propaganda niemiecka usiłowała wszystkim wmówić, że upadek wschodu niemieckiego spowodowany jest przez „bezsensowne przecięcie żywego organizmu niemieckiego”. Opuszczanie jednak ziem wschodnich przez ludność niemiecką nie było spowodowane Wersalem, Niemcy utracili te ziemie dlatego, że oral je chłop polski. Granic bowiem nie wyznacza w rzeczywistości miecz, ale plug.

Materiał ilustrowany jest mapkami i tabelami i rzeczywiście rozwija potrzebę publicystyki polityczno - gospodarczej naszej epoki. fb

Czytajcie i prenumerujcie

„KUŹNICE”



# N O T Y

## STRATY WŚRÓD „KULTURTRAEGERÓW“

Redakcja „Tygodnika Powszechnego“ od dłuższego czasu ogłasza „Listę strat kultury polskiej“. Ostatnio po zaliczeniu do tych strat ajenta Gestapo E. Świerczewskiego, w następnym numerze zalicza „Tygodnik Powszechny“ do strat kultury polskiej księdza Trzeciaka „zamordowanego w powstaniu“.

Każdy warszawiak zmuszony był jeszcze w 1943 roku do oglądania na słupach reklamowych ogromnych afiszów z aforyzmem księdza Trzeciaka o konieczności likwidacji Żydów w Polsce.

Powstaje pytanie czy tego czołowego polskiego rasistę sprzątnęli Niemcy przez pomyłkę, czy też dostał się on w ręce uświadomionych powstańców?

To zresztą obojętne. Ważniejsze jest to, że zaliczenie tego rodzaju indywidualności w poczet reprezentantów polskiej kultury nie tylko daje pojęcie o kulturze „Tygodnika Powszechnego“, ale jest ciężką zniewagą pamięci prawdziwych przedstawicieli naszej kultury pomieszczonej na tej liście. (jm)

## DZIWNY WYROK

Termin „sądy doraźne“ budzi niemiły dreszczyk nawet u ludzi, dalekich od konfliktu z prawem obowiązującym. „Sądy doraźne“ — bez względu na to, kto się nimi posługuje — to szybkość procedury, surowość i bezapelacyjność wyroków. Tak było dotychczas, dziś jednak okazuje się dość często, że — nie taki straszny diabeł, jak go malują, że i sąd doraźny może się stać instytucją o prawdziwie rodzicielskiej wyrozumiałości.

Stanął w Łodzi niedawno przed sądem doraźnym 20-letni student politechniki — Ludomir Stankiewicz, jako organizator i przywódca napadu rabunkowego na sklep żydowski. Rabusia ujęto z bronią w ręku; ostrzeliwał się rzucał granatami podczas pościgu. Jak wykazało śledztwo, obiecujący student ma dość bujną przeszłość poza sobą: należał ongi do AK, nie ujawnił się we właściwym czasie, przeciwnie — trwał w konspiracji, gromadził broń, a jednocześnie rozpoczął studia na politechnice. Grabież miała mu, tak zeznał w toku przewodu sądowego, ułatwić kontynuowanie studiów, zaś jako „najlepszy“ obiekt rabunku, mówił dalej, uważał sklepy żydowskie.

Poza organizowaniem napadów rabunkowych, Stankiewicz zajmował się też działalnością „polityczną“, aranżując przy rozmaitych okazjach burdy uliczne.

Groźny sąd doraźny potraktował młodzieńczego bandytę z najdalej idącą ojcowską pobłażliwością, skazując go na... *jedną rok więzienia*, co jest najniższym wymiarem kary w sądownictwie doraźnym. Rzecz jasna, ten dziwny wyrok wywołał liczne komentarze w opinii i prasie. Niewspółmierność winy i kary wystąpiła tu niezwykle rażąco, zwłaszcza na tle znanych wypadków, gdy uczestników zbrojnych napadów rabunkowych skazywano na wieloletnie więzienie, a nawet na karę śmierci.

Czas już zerwać z przesądą, jakoby Temida musiała mieć tradycyjną przepaskę na oczach. Przeciwnie, uważamy, że *sprawiedliwość nie może być ślepa*, że powinna patrzeć na świat i jego sprawy mądrymi, trzeźwymi oczami. Bo tylko wtedy uniknie się fikcji „okoliczności łagodzących“, a zbrodniarz ponieść zasłużoną, sprawiedliwą karę. (bd)

## MAKABRYCZNE ZABAWKI

I pocóż z taką troską zastanawiamy się nad sposobami wychowywania naszej powojennej młodzieży? Dlaczego kłopotujemy się tym, jak uratować dla moralności humanistycznej nasze dzieci, które rodziły się i wzrastały w atmosferze ciężkiej od niemieckich zbrodni i niemieckiego okrucieństwa? Okazuje się, że sprawa jest bardzo prosta i wzory gotowe.

Bo oto w Nr 124-tym „Kuriera Codziennego“ ob. Stanisław Grek w artykule pod tytułem „Makabryczne zabawki hitlerowskich dzieci“ — oburzając się na hitlerowskie metody wychowywania dzieci — w końcowym ustępie pochwała je w reżultacie. Czytamy: „To, o czym zaraz napiszę, jest najzupełniej zgodne z tym, co wiemy o hitlerowskim wychowaniu młodzieży. Chodzi o niewinną rzecz, o zabawkę. Ba! Ale jaką?... Pani, o której mówię, widziała u pewnej „magery“ niemieckiej w pobliżu Monachium, osobiwiła zabawkę, jaką bawiły się jej dzieci. Zabawka ta jest po prostu — obozem koncentracyjnym!! Z subienicami, z krematorium, z figurkami przedstawiającymi wychudzone szkielety delikwentów, z potworami ss-owskimi, katami zbrojnymi w białym i rewolwery!... Mogłoby to być wstrząsającym dokumentem. Będę tego szukał... W międzyczasie obejrzałem już wiele zabawek niemieckich. Ale to wszystko nie to. Owszem, jakieś esesy w hełmach, rozumie się „tygrysy“, „goliaty“ i inne paskudztwa. W Niemczech wynaleziono coś więcej. W Niemczech uczono dzieci zadawania tortur, pastwienia się nad ludźmi i osiagania w ten sposób uczucia zadowolenia i radości.

Już raz miałem chwilę wielkiej emocji: Zobaczyłem chłopca, który rąbał nożem na miazgę jakieś figurki z masy papierowej. Prócz tego były tam jakieś przyrządy, budynki itd. Zdawało mi się, że to jest to. Chciałem

powstrzymać go w tym niszczycielskim dziele, dla celów wyższych. Ale gdy przyjrzałem się bliżej, zobaczyłem, że to są tylko koszarzy niemieckie i esesy w ohydnych, dobrze nam znanych hełmach.

Chłopak był Polakiem. Szybko zrozumiałem jego uczucia i pozwoliłem mu rąbać dalej“.

Obywatelu Stanisławie! Takie uczucia rozumiemy wszyscy. Ale to zestawienie zabaw dziecka niemieckiego i dziecka polskiego wygląda w waszym artykule równie makabrycznie, jak i same zabawki. Trzeba być konsekwentnym, gdy się ubolewa nad jednym, a pochwała drugie. I nie każda forma wyrażania uczuć jest równie dobrze wychowująca. Nie pozwalajmy dzieciom „rąbać dalej“. Są poważniejsze i lepiej budujące człowieka sposoby wychowania dzieci na ludzi czujnych wobec niebezpieczeństwa. (jz)

## W KRAJNIE BELKOTU

„Nawyki estetyczne: opór pięknu nowemu. Większość czyta właśnie nawykami. Zamiast czytać głodem nieprzewidywanych formotrześci. Zamiast wiarą, nadzieją i miłością.“

„Nie powtarzać świata, ale przetwarzać go w drugą, swoistą rzeczywistość w innobyty. Czy i samoty?“

„Ani gramatyka, ani słownik, ani logika, ani zmysły poszczególne, ani wielozmysłowość, ani życie samo nie wyznacza, nie urzeczywistnia poezji. Gramatykalizm zabije, słownik stropi, logika uwymini, zmysł odosobniony niegodnie okaleczy, wielozmysłowość rozbija, ale jednokierunkowo, życie zaś wykoła, uwiędzie w szczerą prozę, w katalogowanie surowca, w reportaże.“

„Poeta kojarzy treści, grafoman tylko słowa.“

„Jeśli czytelnik lepszym jest poetą od autora, niech sobie błądzi! Jeśli gorszym, niech czyta.“

Przeczytaliśmy zatem i gorze nam. Autor Tadeusz Bocheński napisał aż dwadzieścia sześć podobnych treściotformów. To oczywiście nie szkodzi! Ale to, że redakcja miesięcznika poetyckiego „Kamena“ w Nr 4-5 zamieściła owe „Refleksje“ (Z „Kropel humanizmu“) zaskodzi niewątpliwie młodym i najwymyślniejszym czytelnikom, którzy gotowi są pomyśleć, że to cośmy wyżej zacytowali i to czegośmy z tego treściotformu nie zacytowali — to wszystko humanizm. (rdc)

## ONI TEŻ...

W jednym z podziemnych pisemek, noszących nie wiadomo dlaczego nazwę „Wolność“, ukazał się artykuł na temat konieczności szukania „za wszelką cenę drogi porozumienia dla całego naszego społeczeństwa“.

A znowu inne wydawnictwo „leśne“ zapewnia: „My również pragniemy Polski demokratycznej, budowanej na sprawiedliwości i prawdzie. Jesteśmy zwolennikami upaństwowienia ciężkiego i średniego przemysłu, reformy rolnej, reform społecznych w duchu demokracji.“

Nie będziemy tu zastanawiali się długo nad maskaradą „ideologiczną“ tych, którzy dróg do „porozumienia“, „demokracji“ i „reform społecznych“ szukają poprzez gwałt, rabunek i mord bratobójczy.

Ale jakąż *siłą atrakcyjną* mają w sobie hasła przebudowy społecznej i jedności demokratycznej, skoro nawet bandyci spod wiadomych znaków bronii muszą rącać działania rzekomym przywiązaniem i wiernością dla tych — tak nienawistnych im w istocie — hasel. (bd)

## TYM RAZEM SIĘ NIE UDAŁO

W rubryce „bez ogródek“ „Tygodnika Powszechnego“ (Nr 19) znajdujemy następującą notę o sobie:

„Boy-Kott prawdy historycznej.“

Z „Przekroju“ (Nr 51) publiczności dowiada się m. in. trzech rzeczy: 1) że „król Staś był bardzo poważnie zainteresowany w handlu żywym towarem ze Wschodu do stolic europejskich“, 2) że ob. Kott zrobił to „niewzważające odkrycie, wertując stare papiery w Arch. Akt Dawnych, 3) że źródło jego informacji jest pewno spalone. Pierwsza wiadomość fałszywa, druga dwuznaczna, trzecia na szczęście mylna.

1. Pracując kilkanaście lat temu w Archiwum Głównym, natrafiłem na osobliwy dokument. Był to drobiazgowy opis wdzięków pięknej Loulou, która z czasem zasłynęła jako pani Wittowa, secundo voto Zofia Szczęsnowa Potocka (jej pośrednio zawiądzamy „Zofiówek“ St. Trembeckiego), po Szczęsnym wzięła ją pod swoją opiekę niejaki Maurokordato.

Intencją Boskamp-Lasopolski, autor opisu, wykupił zepsute dziewczę z rąk jakiegoś opiekuna i przywiózł do Kamieńca. Odtąd miała ona kolejno paru mężów, co może niezupełnie zgadzało się z reakcyjnymi poglądami na małżeństwo (Witte po prostu odstąpił ją Szczęsnemu), ale bądź co bądź żona to już nie żywy towar. Stanisław August zapewne przeczytał raport Boskampa i na tym wyczerpało się jego zainteresowanie.

2. Ale jak doszedł do tego odkrycia ob. Kott? Metodą semantyki czy dialektyki? Nie, o wiele łatwiej. Ekspertyza Boskampa mogła by wprawdzie zainteresować historyków sztuki — wszak piękna Loulou posłużyła później

za model dla artysty (Marteau) co sportretował znaną nam (nawet z pocztówek) Zofię Potocką. Ale nie dla mnie byłoby takie speccjały. Zrobiłem tylko wzmiankę o piśmie Boskampa w książce o Polsce i Turcji — i czekałem, kto też się pierwszy na tę tłustą szperkę złakomi: — Boy-Zełenski, czy p. Irena Krzywicka, czy Karol Zbyszewski. Pierwszy ją zwał Zbyszewski, drugi ob. Kott. Albo, co nieprawdopodobnie, sam czytał Polskę — Turcję, albo dopomógł mu usłużyć jakiś spec (np. ówczesny mój kopista).

3. Naogół żywy towar obojga pici grał dużą rolę w ówczesnych stolicach europejskich Wschodu i Zachodu, m. in. w Berlinie. Ale do tych sekretów dotrzeć trudno. Całe szczęście, że archiwalia, na które powołuje się ob. Kott, według moich informacji, nie przepały. Kto ciekaw, sprawdzi. (W. K.)

Bardzo się cieszę, że raport Boskampa do Stanisława Augusta ocalał. Szkoda tylko, że prof. Konopczyński, autor książki „Polska — Turcja“ i niniejszej notatki, nie chce ujawnić sekretu, gdzie owe dokumenty ukryto. Według moich informacji znajdują się w Częstochowie, ale tak schowane, że żaden z profanów już nigdy do nich nie dotrze. Stąd piękna rada prof. Konopczyńskiego „kto ciekaw — sprawdzi“ jest bardzo trudna do wykonania. A szkoda. Jeżeli ocalały dokumenty, ocalała i mała metryczka, na której każdy kto korzysta z archiwaliów wpisuje swoje nazwisko i datę. Na tej metryce, tuż obok podpisu prof. Konopczyńskiego jest i moje nazwisko. Przyszłoby ze skruczą, książką prof. Konopczyńskiego nie czytałem, ale czytałem dokumenty. Rzadko mi się to zdarza, ale tym razem tak się właśnie zdarzyło. I jeszcze na początku roku 1935, a więc zanim książka prof. Konopczyńskiego się ukazała. W rok potem ogłosiłem w „Wiadomościach Literackich“ obszerny artykuł „Lou-lou i Boskamp“,

## KOESPONDENCJA

### Do redaktora „Kuznicy“

W Notach Nr 17 „Kuznicy“ piszę p. bd o wiosce podwarszawskiej, w której dzieci uczone są, iż prezydentem Polski jest Ignacy Mościcki, którego dostojny portret ozdabia ścianę klasy. Otóż ta odporność prowincjonalnego nauczycielstwa na zmiany, jakie w Polsce zachodzą — to nie wypadek osobobny:

Wpadła mi niedawno w ręce dziwna książka: był to elementarzysty drukowany jednostonnie w jakichś niewypelnionych niemieckich formularzach. Lecz nie ten brak papieru (na elementarzel) był w tym wypadku najbardziej dziwnym — a sam tekst. Widać zachowały się stare, sprzed kilkunastu lat matryce, które bez żadnych zmian przedrukowano — bo oto znajdujemy w elementarzu opowiadanie o Belwederze, jako siedzibie chmurnego Marszałka, inne — o Zamku Warszawskim, w którym rezyduje pan Prezydent Mościcki. Nie ma więc powodów do zdziwienia, gdy dzieci, z takich podręczników uczone, nie wiedzą nic o zmianach personalnych władz Państwa. Egzemplarz elementarza, o którym mówię, miał niestety wyrwane pierwsze strony wraz z okładką, nie mogę więc stanowczo twierdzić, iż wydany został w Suwałkach w roku 1945 — jak mi podano. W każdym jednak razie drukowano go z pewnością już po wojnie, na co wskazuje użyty doń papier.

### Łączę wyrazy szacunku

Andrzej Ryszkiewicz

### Do Redaktora „Kuznicy“

W artykule pt. „Opuszczenie dzieci i żony“ (Kuznica Nr 17 z datą 5 maja 46 r.) p. Wanda Żółkiewska poruszyła ważne zagadnienie rodzin, których ojcowie i mężowie pozostają w dalszym ciągu na emigracji i tych których ojcowie czy mężowie zostali zamordowani przez okupanta w związku z ich działalnością konspiracyjną.

Co do tych, którzy pozostają na emigracji słuszny jest postulat, żeby powrót bezwzględnie im umożliwić i zwalczyć opory i przeszkody, których wola powrotu deklarowana przez nich zmoc nie może czy nie potrafi.

Sprawa pomocy natomiast rodzinom pozostałym po uczestnikach organizacji niepodległościowych została unormowana ustawą z dnia 23 lipca 1945 o zasiłkach i pomocy dla osób pozostałych po uczestnikach ruchu podziemnego i partyzanckiego, poległych w walce o wyzwolenie Polski spod najeźdy hitlerowskiego (Dz. U. R. P. Nr 30 poz. 180). Na podstawie tej ustawy rodzinom osób zamordowanych przez okupanta w związku z ich działalnością konspiracyjną przysługują prawo do zasiłku i pomocy ze strony Państwa. Zasiłek wynosi 60 proc. uposażenia urzędnika państwowego X grupy uposażenia dla żony, natomiast dla dzieci i innych osób, które pozostawały na utrzymaniu po 40 proc. Nadto rodziny te mają otrzymywać zaopatrzenie żywnościowe według norm przewidzianych dla członków rodzin urzędników państwowych; przy równych kwalifikacjach służy im prawo pierwszeństwa w przyjmowaniu do pracy, w otrzymywaniu koncesji, przydziałów mieszkaniowych, stypendiów, w przyjmowaniu do zakładów naukowych, burs i zakładów leczniczych, otrzymują również bezpłatną pomoc le-

w którym podałem mniej drażliwe fragmenty raportu Boskampa. Całości nie miałem odwagi drukować, byłem jeszcze wtedy na Uniwersytecie i, przynajmniej, bałem się konsekwencji. Drugi raz po prostu nie wpuszczono by mnie do archiwum. Większość bowiem profesorów uważała za zbrodnię stanu dopomagać laikom do czytania historycznych dokumentów. Trzeba mieć święcenia, aby się zbliżyć do ołtarza.

Dodam jeszcze dla uniknięcia nieporozumień, że ani nie znalazłem kopisty prof. Konopczyńskiego, ani nie byłem jego kopistą. Odpisy zrobiłem sam, studenci nie mają kopistów.

A teraz co do rzeczy samej. Z raportów Boskampa wynika jednak zupełnie wyraźnie, że Stanisław August był poważnie zainteresowany w handlu żywym towarem z Konstantynopola do stolic europejskich. Trudno natomiast orzec, jaki był rodzaj tych zainteresowań. Transporty kobiet szły z Konstantynopola przez Polskę na Zachód. Król Staś, co ładniejsze dziewczęta, zatrzymywał dla siebie. I dlatego Boskamp w długim liście, niejako prospekcie reklamowym, wylicza szczegółowo zarówno wdzięki pięknej Lou-lou, jak też i jej talenty miłosne. Jest to list... zachęcający, odpowiedź nie kazała na siebie czekać, król Staś kazał Lou-lou przywieźć do siebie. Dalszy ciąg historii podaje autor notatki.

Nie łatwo natomiast rozstrzygnąć, czy Stanisław August zainteresowany był w tym handlu tylko osobiście, czy też czerpał z tego źródła i pewne korzyści finansowe. Brak na to zupełnie wyraźnych dokumentów. W każdym razie z raportu i listów Boskampa wynika zupełnie niewzważalnie, że poselstwo przy Wielkiej Porcie znaczną część swoich wydatków pokrywało za całkowitą zgodą króla z handlu żywym towarem. (jz)

karską na koszt Państwa w ubezpieczalniach społecznych lub w państwowych i samorządowych zakładach leczniczych.

W sprawach tych należy się zwracać do Powiatowych wzgl. Miejskich Rad Narodowych miast wydzielonych.

Ze względu na nieznaną postawieniej tej ustawy nie tylko przez szerszy ogół społeczeństwa ale także przez osoby zainteresowane i uprawnione zechciały może Szanowny Pan Redaktor zamieścić w związku z artykułem p. Wandy Żółkiewskiej chociażby krótką notatkę informacyjną w tej sprawie i przyczynić się w ten sposób do wyjaśnienia i zorientowania bądź co bądź wielu osób, które o przysługujących im w myśl tej ustawy uprawnieniach nie wiedzą.

### Łączę wyrazy szacunku

mgr. Chomik Jan

Przeworsk, dnia 6 maja 1946 r.

## SPROSTOWANIE

W Nr 18 „Kuznicy“ autorem artykułu pt. „Tadeusz Kościuszko“ jest Stanisław Śreńkowski a nie jak mylnie wydrukowano „Śreńiewski“.

W Nr 18 „Kuznicy“ fotografie do artykułu Władysława Krasnowieckiego „Jak wystawialiśmy „Sukmanę“ — wykonał Jan Malarski.

W związku z notatką zamieszczoną w dziele „Noty“ pt. „Prehistoria“ w numerze 17(35) z dnia 6 maja 1946 r. Tygodnika Społeczno-Literackiego „Kuznica“, proszę uprzejmie Obywatela Redaktora o umieszczenie w najbliższym numerze „Kuznicy“ następującego sprostowania:

Jako inspektor szkolny powiatu garwolińskiego stwierdzam, co następuje:

- 1) W szkole powszechnej we wsi Stara Huta, znajdującej się w powiecie garwolińskim, nie ma kierownika szkoły i nie było od 1944 r., jest natomiast w tej szkole 1 nauczycielka.
- 2) W szkole tej w tym roku szkolnym nie było żadnej wizytacji ze strony władz szkolnych ani też żadnych innych czynników.
- 3) W szkole tej od 1939 r. nie wisiał na ścianie portret p. Ignacego Mościckiego.

Z poważaniem

Jan Migdał  
Garwoliński Inspektor Szkolny

Prenumerata zapewnia regularne otrzymywanie „Kuznicy“. Zaprenumerować można w każdym urzędzie pocztowym. Prenumerata kwartalna wynosi 75 zł

CENY OGŁOSZEN: F (umna) zł 60.000; 1/2 kolumny zł 30.000; 1/4 kolumny zł 15.000; 1/8 kolumny zł 8.000; 1/16 kolumny zł 5.000; Drobne ogłoszenia 25 zł 1 mm na 1 szpalce

Redaguje Zespół „Kuznicy“. Redaktor Naczelny: Stefan Żółkiewski.

Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13

Adres redakcji i administracji: Piotrkowska 96. tel 205-42.

D-09094

Wydawca: Zespół „Kuznicy“. — Drukarnia

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik“ Nr. 4, ul. Żwirki 2.